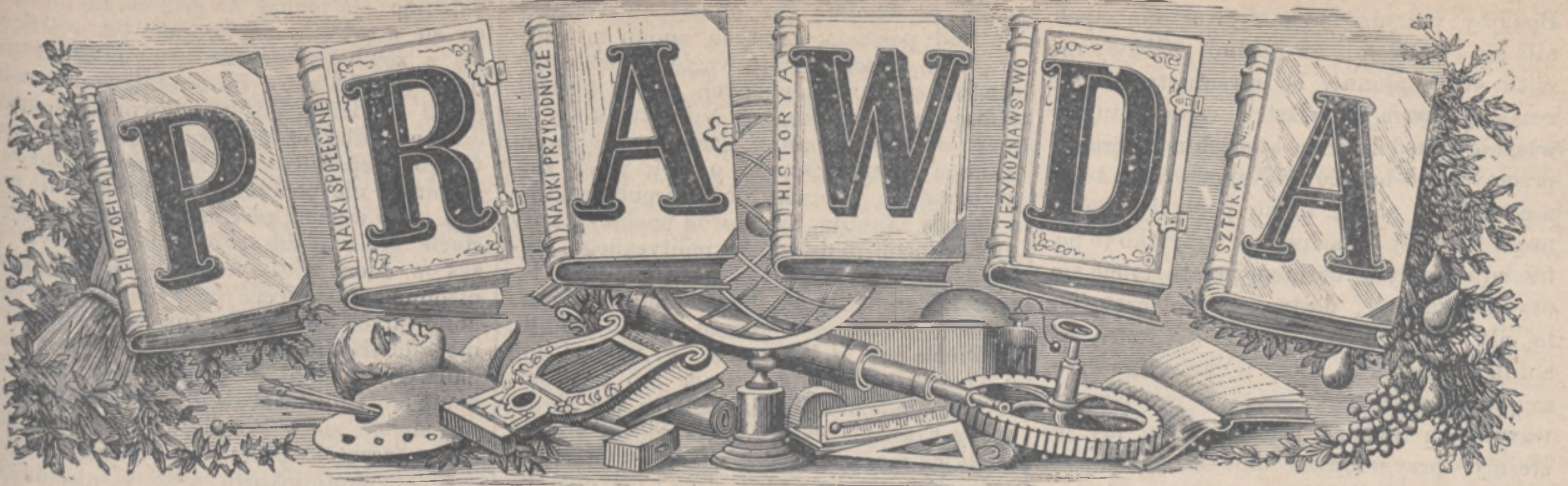
№ 27. Warszawa, dnia 2 Lipca (20 Czerwca) 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Dzieło Morgana **Społeczeństwo pierwotne** wyszło z druku i za zwrotem kwitów prenumeracyjnych odebranem być może w Administracyi naszego pisma. Nabywcom prowincyonalnym wysłane zostało pocztą. Cena obecna rs. 4.

Uwaga. Stosownie do życzenia abonentów Prawdy, cenę dzieła Morgana dla nich pozostawiamy dawną, tj. rs. 3, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 50.

POLITYKA.

ZAGADKI.

Trudność obliczenia skutków praktycznych ukazu, ograniczającego prawa cudzoziemców, trudność zaznaczona w samej jego tymczasowości, odejmowała nam nadzieję usłyszenia skądkolwiek przepowiedni bliższych i dalszych następstw. Prasa też polska rozjaśniła tylko międzynarodową i prawniczą stronę nowej ustawy, unikając ekonomicznej, chociaż niewątpliwie najważniejszej. Bo czy ze stanowiska traktatów zasad prawa publicznego i prywatnego ukaz ów wytrzymuje krytykę, to jest kwestya posiadająca wartość jedynie dla rozpraw akademickich, życia ona nie obchodzi wcale, bo nie posiada wpływu. Siła realna często się nie liczy z najlogiczniejszą teoryą i z najidealniejszą słusznością — stanowi normy takie, jakie jej interes zaleca. Pomijając długie a przy pomocy Bluntschlego łatwo rozciągane wywody w stosunkach i obowiązkach międzynarodowych, które nikogo nie przekonają, zaznaczymy jeden punkt, który dość zrozumiała iluzya osnuła pobożnem życzeniem. Mianowicie gdy trzeźwiejsi z komentatorów ukazu rozciągnęli jego moc również na polaków „poddaństwa mieszanego,“ inni oparli się bezpiecznie na traktacie wiedeńskim, który orzeka: „właściciel różnorządowy nie będzie zniewolony do wyzuwania się w jakiejkolwiek epoce z własności posiadanej w państwie monarchy, którego nie jest poddanym... Wolno mu też sprzedać swą własność... bez żadnych ograniczeń.“ Wszystko to jest prawdą, ale co owa prawda odnośnie *sujets mixtes* dziś warta, odpowiedziały już pisma rosyjskie, które—np. *Dniewnik warsz.*, *Nowoje Wremia* i in.— oświadczyły, że państwo nie myśli krępować swobody swych działań jakimś tam kiedyś przezeń podpisanym, zbutwiałym papierem. Odpowiedź jasna a po doświadczeniach z traktatami i prawami historycznemi w Prusach niepozostawiająca wątpliwości, że rozdarty nią akt stracił swą ważność. Nie wyklucza ta możliwość pewnych ustępstw na rzecz „poddaństwa mieszanego,“ tak jak wogóle doniosłość ukazu w znacznej mierze zależy od jego wykonania. Podkreśliliśmy ten wzgląd zaraz w pierwszej chwili, obecnie praktyka dostarczyła nam już bardzo wiele dowodów.

Zdawało się z samego rozprowadzenia osnowy nowego prawa, że odnosi się ono raczej do przyszłości, nie teraźniejszości, i że ubezpiecza wyłącznie własność nieruchomą po za obrębem portów i miast. Tymczasem doniesienia pism a zwłaszcza materyał faktyczny *Kuryera warsz.*, zebrany z chwil bieżących przekonywa, że dopełnienie ukazu znacznie rozszerzyło jego granice. Według tego dziennika, w Łodzi z zakładów przemysłowych i handlowych ustąpiło już bardzo wielu cudzoziemców; z żywiołu tego oczyszczona została nawet straż ogniowa. Nietylko posiadacze nieruchomości, ale zwierzchnicy i oficyaliści fabryczni otrzymali uwolnienie od obowiązków. Niektórzy fabrykanci sprzedali swoje zakłady. Wójtom gmin rozesłano okólniki, polecające spis i szczegółową charakterystykę osób poddaństwa obcego. Zasad ogólnych jeszcze ująć nie możemy, ale już widzimy, że one sięgają dalej, niż pierwotnie mniemano. *Kuryer warsz.* klasyfikując ów materyał, próbuje go zawrzeć w trzy grupy. Do pierwszej należą fakty, płynące z rozporządzenia administracyjnego, według którego: 1) ochotnicze straże ogniowe nie mogą zostawać pod komendą obcych poddanych i wogóle nie mogą się tworzyć z obcego żywiołu; 2) w towarzystwach przemysłowych, handlowych, dobroczynnych i we wszelkich stowarzyszeniach obcy poddani nie mogą zajmować urzędów kierowniczych (wyjątek stanowią związki wyznaniowe). Drugą tworzą przepisy z r. 1876 o wydawaniu paszportów cudzoziemcom, przybywającym do państwa przez granicę zachodnią— teraz ściśle zachowane. Trzecie wreszcie jest bezpośrednim wypływem ukazu. Naturalnie w stosunku do rozszerzania zakresu nowej ustawy wzrasta niepewność jej skutków, o której mówiliśmy poprzednio i którą stwierdzają wszystkie głosy poważniejsze. *Gazeta warszawska*, najgruntowniej i najwszechstronniej rozjaśniająca położenie, słusznie powiada: „Znaczenie ograniczenia cudzoziemców nie da się jeszcze dzisiaj ocenić i postawić we właściwem świetle, bo jego skutki zależą od tylu różnorodnych okoliczności i warunków, że rozstrzygać o tem byłoby za wcześnie, Historya jednak, to niewyczerpane źródło przykładów i nauki, wskazuje, że gdziekolwiekbądź ostrze ograniczeń zwrócone zostało przeciwko pewnej części ludności, tam zawsze następowało wielkie wstrząśnienie ekonomiczne.“

Otóż jak my jesteśmy przygotowani na to wstrząśnienie? Czy ubywające czynniki obce: wiedzę, kapitał i pracę, zastąpimy własnymi? Łatwo to deklamować, że to lub owo miejsce po cudzoziemcu zajmie rodak,

ale jak ta zamiana przedstawi się w sumie? Bodajby próżnia nagle wytworzona zapełniła się żywiołami swojskimi. Obawy nie są tu wcale płonne, bo wysunięty zostaje z naszego życia pierwiastek, reprezentujący właśnie te uzdolnienia, których nam brak— przemysłowo-handlowe. Nasza wiedza techniczna dość słaba, nasze pomysły ubogie, nasze kapitały bojaźliwe — wszystko to potrzebuje nagłym obrotem przekształcić się, ożywić, zmienić, dostarczyć społeczeństwu tej siły i dojrzałości, które nie rodzą się z dnia na dzień. A może w łonie jego drzemią nieznane potęgi, które w przyjaznych warunkach działać zaczną; może my jesteśmy przygotowani do samodzielności ekonomicznej?

I znowu stoimy wobec szeregu zagadek nierozwiązalnych, do których doprowadza nas ta powikłana sprawa, z którejkolwiek strony do niej się zbliżymy. Dziś można jedynie zapisywać fakty, wnioski z nich dopiero przyszłość wyciągnie. Czujemy zadowolenie polityczne, napawamy się myślą kary odwetowej na żywiole niegodziwej sławy za jego niecnoty, okrucieństwa i gwałty przeciwko narodowości naszej; ale rachunek materyalny będziemy mogli zrobić dopiero później, obliczywszy następstwa ekonomiczne ostatniego ukazu, które dziś na widnokręgu przyszłości rysują się nieokreśloną mgławicą.

OBŁĘDY FRANCUSKIE.

Pomimo reputacyi najgorszej, na jaką zasłużyła sobie w czasach ostatnich Francya w oczach Katonów, czerpiących natchnienia i skazówki w zakrystyi, ludzie zajmują się nią. Zajmują się nią Katonowie nawet. Dopuściła się bo ona zdrożności strasznych. Nauczanie początkowe uczyniła świeckiem; pozakładała szkoły świeckie dla dziewcząt; ograniczyła swobodę brykania duchowieństwu; wystawiła na sprzedaż z licytacyi publicznej klejnoty koronne itd. itd. Pan Bóg ją też karze. Zsyła na nią filokserę, cholerę, trzęsienie ziemi, pożar Opery komicznej, różne inne plagi, szczególnie zaś obłędy, wyrażające się pod postacią: częstych zmian ministeryalnych, jakoteż kultu względem śmiertelników niebłogosławionych przez kościół. Mimo to wszystko, nie unicestwiła się jeszcze do tego stopnia, ażeby o niej przemilczeć można. Mówią o niej, piszą, zajmują się nią gabinety i opinia publiczna — a jak się zajmują, za dowód posłuży każdy numer każdego dziennika politycznego, wychodzącego w Europie a w nim dział depesz telegraficznych. Często zdarza się nie spotkać z żadną z Anglii lub o Anglii, z Włoch lub o Włoszech, z Austryi lub o Austryi, z Niemiec nawet lub o Niemczech wiadomością; nie zdarza się nigdy, ażeby Francyi brakło. Z pomiędzy sześciu wielkich mocarstw, członków areopagu europejskiego, ona jedna stale i niezmiennie występuje na regestrze skazówek polityki chwili bieżącej. Igła jej barometryczna znaczoną jest z dnia na dzień. Czy nie tak? Cóż to znaczy? To znaczy, że ona, pomimo wszystkie a wszystkie plagi — coś znaczy.

A ponieważ „coś znaczy;“ ponieważ tak często małoznaczące przyczyny stają się powodem wypadków doniosłych, warto na nią od czasu do czasu uwagę zwracać i wglądać, co też tam w niej fermentuje.

Pomówimy tym razem o plagach — nie o filokserze jednak, ani o cholerze, ani nawet o Operze komicznej, wchodzących do kategoryi „przestróg opatrznościowych,“ ale o tych, co ją wprost na brzeg przepaści prowadzą: o obłędach, pomiędzy którymi dwa mianowicie wytykane jej są, jako najsmutniejsze, jako takie, które świadczą, że „kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera.“

Jednym z nich: częsta gabinetów zmiana. Że obłęd ten smutnym jest, na to zgodzić się potrzeba dlatego bodaj, że byłoby lepiej, gdyby on nie istniał; na to jednak, ażeby nie istniał, przerobić by należało konstytucyę Francyi. Może to nastąpi kiedy i uwolni kraj od kryzysów gabinetowych, jak wolnemi są od choroby tej Stany Zjednoczone i Szwajcarya. Tymczasem stanowi to w znaczeniu konstytucyjnem wadę organiczną, narażającą na niedogodności, przykrości i śmieszności, nie tak atoli groźną, jak przedstawianą bywa. Groza bowiem — w czemby się ona przejawiała? Jak dotychczas przejaw jej najwyraźniejszy widzieć się daje w głowach jeno przeciwników obecnego porządku rzeczy, pomiędzy którymi naprzód się wysuwają szydercy i prorocy. Ci wyśmiewają, owi wróżą; rozpatrując się jednak na gruncie tak w tem, co się wewnątrz dzieje, jako też w tem, co się z zewnątrz nastawia, wynaleźć trudno materyał, któryby na wyśmiewanie zasługiwał bardziej, jak za dawnych dobrych czasów, albo też nadawał się do stawiania wróżb rozpaczliwych. Patrząc okiem bezstronnem nic podobnego wyszukać nie można. Po wsiach, po miasteczkach, po miastach życie idzie trybem zwyczajnym; co zaś w niem niezwyczajnego we względzie niedomagań społecznych i niedoborów ekonomicznych się trafia, na to by zaradzić nie zdołał sam św. Ludwik, gdyby miejsce pana Grévy zajął. We względzie tych niedomagań i niedoborów gorzej bez porównania dzieje się w Belgii pomimo, że kraina ta ma szczęście posiadania na czele swojem gabinetu katolickiego i że w niej duchowieństwo nad edukacyą ludową czuwa a biskupi rej wodzą. Porządek publiczny, bezpieczeństwo życia i mienia, swoboda wyznań, poszanowanie ogniska domowego, we wszystkiem tem Francya nie ustępuje żadnemu z państw europejskich, ani też w wymiarze sprawiedliwości, w kontrolowaniu urzędów, w wypłatach urzędnikom, w utrzymaniu karności wojska, itd., także w dostarczaniu ludności rozrywek i uciech. Co się tego ostatniego tyczy, Paryż, jak za czasów dawniejszych, kiedy inny porządek rzeczy w kraju panował, tak dziś jest rodzajem Mekki, do której ciągną pielgrzymi z całego świata ucywilizowanego i biorą z niej wzory, a niektórzy tak się w niej rozmiłowują, że zapominają, iż gdzieś tam mają ojczyznę jakąś i obowiązki. Naszych „nieobecnych“ część ogromna tam wsiąkła — pobudowali sobie pałace wspaniałe i zadziwiają francuzów przesadą w zbytkach. I pozostają oni pod ochroną praw regularnie działających, na które zgoła nie wpływają zmiany gabinetowe. Maszynerya cała funkcyonuje jednakowo, czy na czele rządu stoi X., czy Y. To, co stanowi istotę ładu społecznego, nie doznaje najmniejszego uszczerbku tak, że można nie wiedzieć, w czyich ręku spoczywa ster nawy państwowej. Ci, co znali Francyę cesarską, dostrzegają odmianę pewną, gdy wchodzą w styczność z władzami, znajdując na miejscu buty, sztywności i szorstkości przystępność i uprzejmość. Na poczcie nawet urzędnicy są grzeczniejsi, aniżeli dawniej bywali. Na ulicy starszyzna wojskowa wystawy ruchomej, pobrzękującej i potrącającej ze siebie nic czyni, a kokoty z tonu

---

POWIEŚĆ.

KULAWKA

przez

Guy de Maupassanta.

Dziwne są te dawne wspomnienia; gdy raz cię opanują, ani podobna ich się pozbyć.

Jedno z nich naprzykład sięga odległych, ale to tak odległych czasów, że nie pojmuję, jak może tak uparcie przechowywać się w mojej pamięci. Widziałem już potem tyle rzeczy wzruszających i strasznych, patrzałem na tyle klęsk i niedoli, że nie rozumiem, dlaczego nie minie jeden dzień nawet, by nie stanęła mi przed oczami postać Kulawki, taka, jaką znałem mając lat dziesięć lub dwanaście.

Była to stara szwaczka, która raz w tydzień, to jest w każdą środę przychodziła naprawiać bieliznę do moich rodziców, zamieszkujących jedną z tych wiejskich budowli, nazywanych zamkami, które nie są niczem innem, jak staroświeckimi domami o spiczastych dachach. Wkoło owego domu znajdowało się kilka folwarcznych budynków, a w dali o kilkaset metrów widniała duża, piękna wieś, w pośród której wznosił się kościół, pokryty czerwoną dachówką, przez czas sczerniałą.

Otóż, z nadejściem każdej środy, zjawiała się Kulawka między szóstą a siódmą godziną rano i zasiadała do roboty.

Była to kobieta chuda, wysoka, brodata czyli raczej włochata, gdyż w jakiś szczególny, niezwykły sposób całą jej twarz o grubych, męzkich rysach, pokrywały kępki kędzierzawych włosów. Miała je na nosie, pod nosem, w koło nosa, na podbródku, na policzkach; a jej gęste, siwe, najeżone, nadzwyczaj długie brwi podobniutenkie były do wąsów, umieszczonych przez pomyłkę w niewłaściwem miejscu.

Kulała także niezwyczajnie, kołysząc się jak okręt na kotwicy. Stawiała zdrową nogę, potem pochylała naprzód kościste i pokrzywione ciało, jakby chciała nabrać rozpędu, żeby wspiąć się na olbrzymi bałwan morski i nagle rzucała się niby w przepaść niezgłębioną. Jej chód przypominał burzę, taki był gwałtowny i nierówny to też wstążki, zdobiące wielki, biały czepiec, frunęły ciągle, za każdem poruszeniem po nad jej głową, z północy na południe i z południa na północ.

Ubóstwiałem ją. W każdą środę, zaraz po śniadaniu, biegłem do pokoiku, gdzie szyła, mając fajerkę z ogniem pod nogami. Zaledwie drzwi zamknąłem, sadzała mię na fajerce, a to w celu, jak mówiła, uchronienia swego kochanego chłopca od kataru, jakiegoby się mógł nabawić na tem zimnem poddaszu.

— Bo to o mało nie wyjdą oczy na wierzch z zimna — dodawała.

Opowiadała mi historye, a igła szybko migała w jej haczykowatych palcach; oczy z po za powiększających okularów, bo wzrok już miała osłabiony, wydawały mi się dziwnie wielkie i głębokie.

Musiała posiadać duszę wzniosłą i prostą, gdyż słuchając ją, doznawałem nieopisanego wzruszenia, chociaż opowiadała o najzwyczajniejszych zdarzeniach codziennego życia ludu wiejskiego: to krowa uciekła w zabory i po paru dopiero dniach schwytano ją przed młynem Prospera Maleta, gdy się przypatrywała kołu młyńskiemu; to znaleziono na dzwonnicy kościelnej kurze jaje i zachodzono w głowę, skąd ono się tam wziąć mogło; to pies Jana Pilasa, zobaczywszy o dziesięć mil od wioski suszące się na płocie spodnie swego pana, skradzione kilka dni przedtem, zdjął je i przyniósł do domu. Wszystko to przedstawione było w taki sposób, że pospolite, zwykłe wypadki przybierały w moim umyśle kształty niezapomnianych nigdy dramatów, poematów szczytnych i tajemniczych; powiastki

znacznie spuściły. Ze statystów niektórzy upatrują w tem oznaki zniżenia wartości Francyi. Nie będziemy się nad tem zastanawiali; zaznaczymy jeno, że odmiany tej nie sprowadziły zmiany gabinetów; nastąpiła ona w skutek tego, że na czele narodu nie stali ci, co go byli wykierowali na „pawia narodów,“ a jak raz nastąpiła, tak się już utrzymywała w równej mierze pod Gambettą, Brissonem, Ferrym, Freycinetem, Gobletem.

Jeżeli od spraw wewnętrznych zwrócimy wejrzenie na widownię polityki zewnętrznej, zobaczymy działalność poprawną a ostrożną, przedstawiającą po każdej gabinetu zmianie toż samo w ciągu dalszym. Powtarza się to od czasu objęcia prezydentury przez Grévego a nawet za Thiersa i Mac-Mahona. Gabinety się zmieniają, ale nie polityka. Ta ostatnia jest zawsze jednakowa: oględna tak dalece, że o lękliwość pomawiać ją można, nie wyrywająca się z pretensyami, projektami, inicyatywami, cierpliwa i wyczekująca. Wyczekiwanie jej wciąż w jedną zwraca się stronę, a mianowicie: na punkt styczności pomiędzy Berlinem a Petersburgiem — styczności, która oddala Francyi przysługę ogromną, posłużyła jej bowiem za skrzydła opiekuńcze do wylizania się z ran i wykończenia przygotowań wojennych, stawiających ją na równi z wpatrującym się w nią, jak grzechotnik, przeciwnikiem. Przysługa owa zaznaczyła się szczególnie w r. 1875, kiedy Niemcy zamierzyły były rozpoczynającym się przygotowaniom przeszkodzić i Francyę do nich na zawsze uniezdolnić. Od chwili owej wyczekiwanie w tę stronę zwrócone stało się polityki francuskiej wytyczną, przekazywaną stale w spadku przez gabinet upadający gabinetowi do władzy przychodzącemu. Powtarzało się to i powtarza tak, że z tego punktu widzenia zapatrując się na częste gabinetów zmiany, widzimy u steru ludzi innych, ale nie dostrzegamy zmian w kierunkach. Słodki, przydomkiem „myszki białej“ przyozdobiony Freycinet, miniasty Ferry, popędliwy Goblet jednej i tej samej wewnątrz i zewnątrz trzymają się drogi.

W przeciągu okresu historycznego od roku 1871 do chwili dzisiejszej we Francyi zaznaczyły się były dwie zmiany: prezydentura Mac-Mahona, która była przegrywką do przywrócenia tronu i podboje Ferry'ego w Afryce i Azyi, które miały na celu uspokojenie podejrzliwości berlińskiej z jednej i sprawienie dystrakcyi francuzom z drugiej strony. Pierwsza okazała się próbą chybioną; druga na kierunek drogi politycznej nie wywarła wpływu najmniejszego. Wytyczna się nietylko nie zmieniła, ale pogłębiła i, spopularyzowała, stała się widną opinii publicznej dzięki prasie, literaturze, teatrowi, Skobelewowi i panu Deroulède. Przymierze z Rosyą przybrało charakter warunku nieodzownego. Na przymierze to liczy się, oczekuje, ale z zastrzeżeniem pewnem, które je odsuwa w przyszłość, nie mogącą się bliżej dokładnie oznaczyć. Francuzom politykującym — a politykują oni wszyscy, nawet po wsiach — chodzi o to, ażeby im sprzymierzeniec rękojmię dał pod postacią zapoczątkowania... wojny z Niemcami. *Excusez du peu!* Liczą oni na to, że zapoczątkowanie to wykrzeszą za pomocą umizgów, których nie szczędzą tem bardziej, że tym, co się niem popisują, korzyść przynoszą. Rozreklamowanie sympatyj rosyjskich wytworzyło zastępy całe kuglarzy, którzy je wyzyskują tak i inaczej, nie wyprowadzając mimo to, ani gabinetu, ani opinii publicznej po za granicę wyczekiwania. Wyczekiwanie stało się we Francyi czemś — niby chorobą chroniczną, obejmującą wszystkie pracujące i produkujące warstwy społeczne, które się nie lękają bardziej niczego, jak ryzyka i we względzie tym zgadzają się zupełnie ze swoimi co miesięcy kilka upadającymi gabinetami.

„Niech Rosya pierwsza zacznie... Czy zacznie?... Kiedy zacznie?... — w sposób ten pragnienie odwetu wypowiada troski i nadzieje swoje polityczne tak w obrębie gabinetowym, jakoteż na szerokiej arenie ludowej. Nic w tem nie ma dziwnego. Kto się na gorącem sparzył, ten na zimne dmucha. W kierunku odwetowym pokazują się światełka, tworzą nadzieje i widoki. Odwet? O odwecie francuzi słodko marzą; że atoli marzą nie tak, jak za czasów napoleońskich, więc obrachowują szanse i z obrachowania im wypada, że Rosya zacząć powinna.

Ostatnie wypadków politycznych nastawienie się, wywołane na półwyspie Bałkańskim przez awantury bułgarskie, zwróciło w stronę tę uwagę publiczną. Postawa, jaką przybrał gabinet petersburski i jaką przybrały gabinety wiedeński i berliński, ukazała się w postaci światełka, ściągającego ku sobie nadzieje i widoki francuskie. Któż miesięcy temu kilka wojny pomiędzy Rosyą a Austryą, pomiędzy Rosyą a Niemcami nie uważał za prawdopodobną? — za pewną nawet? Zapatrywano się na nią, jak na kwestyę czasu: w państewkach, które pokój cenią, bo pokojem żyją, rozlegały się dzwonienia dzwonków lotaryńskich, skutecznych w zażegnywaniu burz, a spekulanci giełdowi wyzbywali się za bezcen z papierów rosyjskich. Wszystkie oznaki i prognostyki wróżyły wojnę niechybną, która dla francuzów miała znaczenie wyczekiwanego zapoczątkowania.

Wyobraźmy sobie Francyę dawniejszą nieco, z tych czasów, kiedy w imieniu jej mówiono, że „bez jej pozwolenia żadne w Europie nie strzeli działo.“ Wyobraźmy ją sobie tak wyzywaną i drażnioną, jak ją w epoce zajść bułgarskich drażniono i wyzywano z Berlina, gdzie tanim targiem zamierzano kupić sobie rzecz upragnioną: zaczepkę Francyi. Czyżby się ona była naprzód nie rzuciła ze łbem pochylonym i z okrzykiem: „do Berlina!“ — licząc na to, że z drugiej strony, do Berlina, za przykładem jej sprzymierzeniec przyjdzie? Nie uczyniła jednak tego, powstrzymywała się, wyczekiwała— wysadziła jeno Boulangera, człowieka, którego popularność urosła do wysokości kultu w przeciągu dni kilku, pomimo że nie opierała się na przeszłości, na zasługach, ani też na dowodach zdolności szczególnych. Wzięła się — niewiedzieć skąd, bez żadnego tytułu seryo. Generał prosty z dziś na jutro został ulubieńcem tłumów.

Objaw ten dał powód do rozpraw filozoficznych, wychodzących z tego punktu, że po upadku cesarstwa, po zejściu ze świata Gambetty, po śmierci Wiktora Hugo, pozostało miejsce opróżnione i na miejsce to opinia publiczna wprowadziła pierwszą lepszą osobistość, byle mieć kogo wielbić. Stąd wniosek, że bez osobistości tego rodzaju Francya obejść się nie może, a zatem, że jest ona na gruncie monarchiczną. Z boku się przypatrując, widzi się, że wyniesienie Boulangera na szczebel ulubieńca nastąpiło w skutek tego, że w chwili, kiedy się rzeczy tak nastawiły, iż z dnia na dzień wyczekiwano wieści o rozpoczęciu kroków wojennych nad Wartą i Wisłą, w rękach jego znajdowała się teka ministra wojny. Boulanger zajmował posterunek, odpowiadający nastrojowi chwili. Na niego przeto zwróciły się oczy wszystkich. Że zaś on, w chwili takiej obiecującej, okazał się czynnym, że zwiedzał warownie, przeglądy wojska czynił, zarządzał próby, wprowadzał uproszczenia, wyznawał się przytem republikaninem i posiadał akcent w postawie swojej, uzyskał przeto z góry zaufanie, jakie by był na miejscu jego uzyskał Farre

---

cudowne, tworzone przez poetów a czytane mi wieczorem przez matkę, nie miały ani w części tej siły, świeżości i pełności, co opowiadania prostej wieśniaczki.

Jednej środy, spędziwszy cały ranek z Kulawką, pobiegłem na chwilę ze służącym do lasku Haltats po orzechy. Pamiętam najdrobniejsze szczegóły dnia tego, jakby to było wczoraj.

Otóż po powrocie z lasku wbiegłem na strych i otworzywszy drzwi, ujrzałem moją starą przyjaciółkę wyciągniętą na ziemi, z twarzą zwróconą ku podłodze. W jednej ręce trzymała jeszcze igłę, a w drugiej moją koszulę; okulary odtrącone zdala błyszczały pod ścianą.

Uciekłem, krzycząc przeraźliwie. Domownicy się zbiegli i po kilku chwilach dowiedziałem się, że Kulawka nie żyje.

Nie umiem wypowiedzieć, jak przejmujący, głęboki, okropny ból ścisnął moje serce dziecięce. Zeszedłem do salonu i rzuciłem się z płaczem na wielki, staroświecki fotel, stojący w ciemnym kącie. Musiałem długo płakać, bo noc nadeszła.

Wniesiono lampę, ale mnie nikt nie spostrzegł; usłyszałem tylko rodziców rozmawiających z doktorem, po którego natychmiast posłali. Tłomaczył im przyczyny wypadku, z czego nic a nic nie zrozumiałem. Potem usiadł i popijając likier, zaczął opowiadanie, które zostało i pozostanie wyryte w mej duszy aż do dnia śmierci. Zdaje mi się, że będę mógł powtórzyć słowo w słowo własne jego wyrazy.

— Ach! — mówił — biedna kobieta. Była pierwszą moją pacyentką. Złamała nogę w dniu mego tu przybycia. Wysiadłszy z bryczki, nie miałem jeszcze czasu obmyć się z kurzu, kiedy mię do niej przywołano pospiesznie, bo nie było ani chwili do stracenia.

Miała lat siedemnaście i była bardzo, bardzo, ale to bardzo piękna! Ktoby temu uwierzył? Co zaś do owego wypadku, nigdym o nim nie mówił i nikt o nim nie wie, prócz mnie i kogoś, kogo już nie ma w tych stronach. Teraz kiedy umarła, milczeć nie potrzebuję.

W owym czasie przybył do wioski pomocnik nauczyciela, ładny i dorodny chłopak. Wszystkie dziewczęta ubiegały się o niego, ale on udawał obojętność, bo się okropnie bał swego zwierzchnika, ojca Grabu, z którym nie było żartów.

Piękna Hortensya, nazwana po wypadku Kulawką, była szwaczką u ojca Grabu i wpadła w oko młodemu nauczycielowi. Może jej pochlebiało, że została wybrana przez niezdobytego zwycięzcę, może jej się istotnie podobał, dość, że go pokochała i przyrzekła zejść się z nim wieczorem na strychu, nad szkołą.

Skończywszy więc robotę i pożegnawszy ojca Grabu, zamiast wrócić do domu, weszła na górę i ukryła się w sianie, czekając na ukochanego. Wkrótce nadszedł, ale zaledwie zaczął jej prawić słodkie słówka, kiedy się drzwi otworzyły i ojciec Grabu zapytał:

— Co ty tu robisz Sigisbercie?

Czując, że się wszystko może wydać — odpowiedział z przerażeniem:

— Przyszedłem, panie Grabu, odpocząć trochę na sianie.

Góra była bardzo duża i zupełnie ciemna: Sigisbert popychał w głąb przestraszoną dziewczynę, szepcząc:

— Idź tam dalej, schowaj się, ukryj, bo inaczej stracę miejsce.

Ojciec Grabu, słysząc szeptanie, rzekł:

— Jak widzę, nie sam tu jesteś?

— Zupełnie sam.

— A z kimże rozmawiasz?

— Z nikim.

— Zaraz się o tem przekonam.

I zamknąwszy drzwi na klucz, poszedł po światło.

Wtedy Sigisbert, tracąc głowę ze strachu, a myśląc tylko o sobie, jak to najczęściej

Campenon, Thibaudin, każdy inny generał, któryby w chwili owej piastował tekę ministra wojny. Nie osobistość jego, ale stanowisko popularność mu zrobiła. Naród mu z góry zaufał dlatego, ażeby on sam w sobie ufności nie stracił. Zaufanie tego rodzaju, w istocie swojej warunkowe, nie — zdaniem naszem — nic ma spólnego z potrzebą stawiania osobistościowych ołtarzy. Wielbienie jego składało się z tych pierwiastków, jakie wchodzą w zaufanie chorego do lekarza, albo przedsiębiorcy do technika — było ono rodzajem *carte blanche*, jaką wręczał naród rozporządzicielowi sił zbrojnych wtedy, kiedy zdawało się, że siły owe z korzyścią zużytkowane być mogą. J. Boulanger zużytkował je w tym duchu. Wyczekiwał—wyczekiwał—mimo uszów puszczał prowokacye prasy gadzinowej i doczekał się, nie zapoczątkowania ze strony sprzymierzeńca domniemalnego — czekającego również aż Francya zacznie — ale upadku gabinetu, do którego składu wchodził, a z nim i własnego.

Upadek jego wielbiące go tłumy przyjęły — manifestacyjką na placu Wielkiej opery; on zaś?.. Dzienniki przebąkują jeszcze o nim, ale coraz to mniej i coraz to rzadziej. Nie idzie za tem, ażeby on znów wypłynąć na wierzch nie miał, nie jako bożyszcze jednak, ale jako fachowiec. Francya, jak się zdaje, do bożyszcz się zraziła i w tem może upatrywać należy powód częstej gabinetów zmiany — zmiany tyczącej się osobistości, ale ani trybu, ani systemu, ani zasad tak, że powiedzieć można: *Plus ça change, plus c'est la même chose.* Niech przeto wróżbici, wysnuwający stąd wnioski, skazujące Francyę na zatratę, z wnioskami się wstrzymają. *Finis coronat opus.* Czekajmy końca.

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Austryacki następca tronu przyjechał z żoną do Galicyi, powitany bardzo uroczyście i — dodajmy — szczerze. Habsburgowie używają tam istotnej czci, którą podtrzymuje nietylko dobra wola Franciszka Józefa względem swych polskich poddanych, ale i to ich przekonanie, że łaska monarsza jest główną podporą ich samorządu i wszystkich płynących zeń dobrodziejstw. W owacyach też dygnitarzów galicyjskich, w przemówieniach i hołdach było niewątpliwie dużo przesady, ale nie było częstej w podobnych objawach obłudy i służebności wymuszonej. Od samego Oświęcimia (granicy) jedzie arcyksiążę Rudolf jak tryumfator, śród ciągłych uniesień ze strony ludności i jej wysoko stojących przedstawicieli. Nie wiadomo nam, z jakiego źródła wypłynęła, przewijała się jednak obawa, że przyszły cesarz Austryi cofnie polakom względy swego ojca. Teraz więc galicyanie przyjęciem szczególnie okazałem chcą zawiązać węzeł życzliwości dla nich następcy tronu. Zwłaszcza Kraków zdobywa się na olśniewającą wystawę wierno-poddańczej gościnności. Od dyplomu doktora honorowego i kornych podściełań się pod stopy do kantat, hymnów, nabożeństw, ogniów bengalskich i gromadzenia ludu — ciągnie się długi łańcuch demonstracyj. Ostatecznym celem podróży arcyksięcia jest Tarnopol, gdzie urządzono wystawę etnograficzną.

Całkiem inną, cichą, pod chmurami gradowemi rozpoczętą podróż odkrył król Milan do Wiednia. Próbowano złudzić opinię doniesieniem, że władca serbski jedzie na kuracyę do Gleichenberga. Pajęcza jednak osłona szybko się przedarła i dziś już jawnie wystąpiło strapione oblicze monarchy serbskiego, który potrzebował usprawiedliwić się z powołania Risticza do władzy i wylać w przychylne dłoń uszy cesarza austryackiego swe smutki rodzinne i państwowe. Widzi on grunt podorwany pod swym tronem i pragnie się ratować. Co mu doradzono w Wiedniu, czy rozwód z żoną, czy też „etykietalną zgodę,“ czy zalecono trzymać Risticza, czy go przy sposobności wyprzeć—niech zgaduje, kto ma ochotę. Cierpliwi niech czekają, a blizka przyszłość ciekawych zadowolni.

Sejmy niemieckie rozjechały się na wypoczynek, cesarz odzyskał zdrowie i jedzie do Ems, a syn jego dalej pozostaje pod opieką d-ra Mackenziego w Anglii. Natura nowotworu w gardle nie została jeszcze określoną, coraz więcej jednak przybywa głosów, odgadujących, że jest ona złośliwą, czyli że chory nie miałby nadziei życia.

Anglia, odpocząwszy po uroczystościach jubileuszowych, patrzy niespokojnie na Złoty Róg, gdzie skutkiem protestów Francyi i Rosyi sułtan wstrzymał podpisanie umowy o Egipt. John Bull zżyma się, uwija, grozi, prosi, dotąd jednak kontraktu w kieszeni nie ma.

Włosi wysłali posiłki do Afryki na wojnę z królem abisyńskim, która ich mniej zajmuje, niż sprawa papieżka, której iskry w popiele ciągle są rozdmuchiwane.

A Francya? Jak zwykle: myśli o strąceniu ministeryum i roznamiętnia się rozwodem aktorki Hading, dyrektor teatru „Gymnase“ nie pozwala wstąpić do „Odeonu.“ Tam uwaga publiczna musi mieć jakiś głośny rozwód i awanturę aktorską. Że nad Sekwaną jest ciągle dosyć głupich ludzi, karmiących się taką strawą — to nie dziwnego, ale po co echa tych bzdurnych skandalów po drucie telegraficznym wędrują aż nad Wisłę? Ha, przecie jesteśmy francuzami północy!...

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYSTAWA HYGIENICZNA.

IV.

Wyniki analiz powietrza przedstawił p. Kakowski. W sposób dowcipny a poglądowy oraz dla każdego zrozumiały unaocznił on różnicę pomiędzy powietrzem normalnem, t. j. takiem, jakiem ono być powinno, aby przy oddychaniu oddać mogło należyte usługi, a takiem, jakiem oddychamy zwykle. Szklane, różnobarwne sześciany odpowiedniej wielkości wyobrażają nam przy danej objętości tlenu ilość obcych domieszek, wyrażonych przez wilgoć i kwas węglany. Widzimy tu naprzykład, że, podczas kiedy w powietrzu normalnem ilość tych domieszek, a zwłaszcza kwasu węglanego, jest bardzo nieznaczną w sali teatralnej, już nawet na początku niezbyt pełnego przedstawienia ilość ta wzrasta niesłychanie; cóż mówić dopiero o powietrzu przy końcu widowiska podczas szczelnie zapełnionej sali.

Powietrze jednej z sal szpitala św. Ducha w porze nocnej jest względnie dobrem pod względem zawartości kwasu węglanego, wilgoci jednak jest tu cokolwiek za dużo.

Bardzo niekorzystnie, co do wilgoci, przedstawiają się sutereny warszawskie. Wynik analizy chemicznej zgadza się tutaj zupełnie z bakteryologiczną, dokonaną przez d-ra Bujwida, wykazującą niezmierną ilość kolonij pleśniowców w powietrzu suteren.

Jużto wogóle rezultaty rozbiorów powietrza tak pod względem chemicznym jak i bakteryologicznym są uderzająco do siebie podobne. Wielkie skupienia ludności w przestrzeni zamkniętej wpływają niekorzystnie na skład powietrza pod obu względami, dlatego należałoby baczną zwracać uwagę na dobrą wentylacyę sal teatralnych, koncertowych, kościołów, od działów szpitalnych, klas szkolnych, wreszcie, ażeby zapobiedz przeciągom, które, bądź co bądź, (jakkolwiek wielu jest innego zdania) nie są dla zdrowia pożyteczne, a przy złej wentylacyi często się zdarzają, przytem mieć zapewnione świeże i dobre powietrze. Bardzo piękne modele wentylatorów wystawił inżenier p. Karol Poszepny, od najprostszych i dla każdej kieszeni dostępnych, aż do artystycznie wykończonych cacek, mogących służyć równocześnie i pożytkowi i ozdobie.

Byłoby bardzo pożądanem, ażeby nawet nasze mieszkania prywatne również w wentylatory zostały zaopatrzone, gdyż przewiew naturalny, jaką nam daje porowatość murów, niewystarcza, zwłaszcza że coraz bardziej wchodzić zaczyna w użycie olejne malowanie domów zewnątrz a nawet i ścian wewnątrz mieszkań a powłoka taka jest prawie nieprzepuszczalną.

Chemiczne analizy wód warszawskich, wykonane w rozmaitym czasie przez pp. Hemiliana, Ławrowa i Zratowicza okazane są na tablicach pisanych też po za rozbiora-

---

w podobnych razach bywa, wpadł w gniew szalony i wołał: „Ale schowajże się tak, żeby cię nie znalazł. Pozbawisz mię chleba na całe życie. Złamiesz całą moją przyszłość... Schowajżeż się!“

Słychać już było klucz obracający się w zamku.

Hortensya pobiegła do okienka wychodzącego na ulicę, otworzyła je szybko i rzekła z cicha:

— Jak on odejdzie, przyjdziesz mię podjąć z ziemi.

I wyskoczyła.

Ojciec Grabu wrócił do pokoju, bardzo zdziwiony, że nie znalazł nikogo.

W kwadrans potem pan Sigisbert przyszedł do mnie i opowiedział, co zaszło. Dziewczę wyskoczywszy z drugiego piętra, leżało, nie mogąc się podnieść. Miała prawą nogę w trzech miejscach złamaną a kości przedarłszy ciało, sterczały na wierzchu. Przynieśliśmy ją wśród największej ulewy. Nie skarżyła się, tylko ze wzruszającym spokojem powtarzała: „Jestem ukarana, bardzo ukarana!“

Kazałem przywołać rodziców i opowiedziałem im bajeczkę o wozie, który ją przed mojemi drzwiami przewrócił i przejechał.

Uwierzono mi, a żandarmerya przez cały miesiąc szukała daremnie sprawcy tego nieszczęścia.

Otóż podług mnie, kobieta ta była bohaterką, z rodzaju bohaterek głośnych w historyi z najpiękniejszych czynów...

Była to jedyna jej miłość. Umarła dziewicą. Czyż to nie męczennica, nie wielka dusza, nie wzniosłe uosobienie poświęcenia! Gdybym jej nie uwielbiał, nie byłbym wam opowiedział jej historyi, której zresztą nikt nie zna, dla łatwo zrozumiałych powodów.

Doktór zamilkł. Matka płakała, ojciec coś wyrzekł, czego nie dosłyszałem; potem wszyscy wyszli.

Ja zostałem na fotelu, szlochając głośno, a tymczasem na schodach dały się słyszeć jakieś ciężkie kroki i stukanie.

To zwłoki Kulawki znoszono.

Tłom. *Kasylda K.*

mi powietrza. Żałować wypada, że wyniki tych rozbiorów nie są uwidocznione graficznie; takie bowiem tablice daleko bardziej rzucają się w oczy, wymagają mniej czasu i natężenia wzroku, na pisane przytem rzadko kto zwróci uwagę, chyba specyalnie zainteresowany. To też na obecnej wystawie pisanych tablic spostrzegamy niewiele.

Wody absolutnie czystej pod względem chemicznym — niema, tak samo, jak niema wolnej zupełnie od bakteryj, jakeśmy to widzieli poprzednio. Wyniki rozbiorów wody wiślanej przed i po filtrowaniu pod obu względami (chemicznym i bakteryologicznym) są zupełnie zgodne, różnią się jednak rozbiory wód studziennych. Chemiczna analiza uznaje wodę wszystkich prawie studzien za złą, a zatem niezupełnie zdatną do użytku (z wyjątkiem trzech tylko studzien: w ogrodzie Botanicznym, na ulicy Chłodnej i przy rogatkach Mokotowskich); bakteryologiczna natomiast we wszystkich prawie studniach wykazuje nadzwyczaj małą ilość bakteryj, każe zatem ich wodę uważać za zdatną do użytku. Zły skład chemiczny wody studziennej obok małej ilości bakteryj da się tu jednak wytłomaczyć. Wiadomo, że bakterye powodują rozkład materyału, w którym się rozmnażają, wytwarzając zarazem rozmaite produkty, i że one właśnie są jedyną tego rozkładu przyczyną. W wodzie zatem złej chemicznie, trzeba koniecznie przypuszczać wielką ilość bakteryj. Tak też bywa w studziennej, z tą tylko różnicą, że woda przechodząc przez grubą warstwę ziemi, filtruje się drogą naturalną, nic przeto dziwnego, że małą tylko ilość bakteryj zawiera. Produkty jednak bakteryj, nie będąc częściami stałemi, przez nasz filtr się przedostają, skąd zły skład chemiczny takiej wody. Ponieważ jednak produkty bakteryj w wodzie przeważnie są nieszkodliwe, nie należałoby, zdaniem naszem, odsądzać studziennej tak zupełnie od użytku, jak to w większości wypadków uczyniono.

Tuż obok umieszczono tablicę, wykazującą skład chemiczny wód ściekowych z fabryk najbardziej rozpowszechnionych. Kropla takiej wody rozpatrzona pod mikroskopem przedstawia się jako gabinet zoologiczny i ogród botaniczny razem wzięte. Setki amoeb, norticelli, pleśni, drożdży bakteryj, wogóle cały niższy świat zwierzęcy i roślinny tu występuje. Taką właśnie kroplę wody ściekowej pod mikroskopem w olbrzymiem powiększeniu przedstawił p. Siemaszko. Jej skład chemiczny jest niemniej ciekawy: wielkie ilości cuchnących gazów, produktów gnicia, odpadków fabrycznych uderzają przedewszystkiem. Wody takie należałoby koniecznie odprowadzać w jakieś odległe od mieszkań ludzkich okolice, albo przynajmniej starannie dezinfekować.

Poniżej tablic wspomnianych ustawiono wszystkie przyrządy i odczynniki do analizy wody służące.

Zaraz obok w szafeczkach oszklonych umieszczono środki dezinfekcyjne—wszystkie, jakie gdziekolwiek są używane. Większą lub mniejszą ich wartość już to odwaniającą, już to dezinfekcyjną we właściwem tego słowa znaczeniu, tj. niszczącą szkodliwe substancye—przedstawiono graficznie na dwóch tablicach. Dowiadujemy się z nich, że najpierwsze miejsce ze wszystkich znanych środków posiadają jodnik rtęci i chlorek rtęci, pospolicie sublimatem zwany: do zdezinfekowania danej ilości np. litra żądanego płynu, potrzeba wspomnianych środków bardzo nieznaczną ilość, podczas gdy innych należy użyć kilka a nawet kilkanaście razy więcej.

Wiele praktycznych wskazówek w sekcyi fizyko-chemicznej znaleźć mogą gospodynie. Podczas gdy w pawilonie żelaznym nauczyć się mogły, jakie pokarmy są najodpowiedniejsze i jak je przyrządzać należy, ażeby zasadom hygieny odpowiadały—tutaj mają sposobność dowiedzieć się, w jakich naczyniach sporządzać je najlepiej, jakie polewy są szkodliwe i jak ich szkodliwość rozpoznać. Tak np. gdy w danem naczyniu wygotujemy ocet i do wlanego w szklankę damy sporo amoniaku, wówczas, jeżeli w badanem naczyniu rozpuszcza się miedź, ocet zabarwi się na niebiesko. Jeżeli pobiała zawiera ołów, rozpoznajemy to w inny sposób. Gotujemy znowu ocet, lecz zamiast amoniaku dodajemy jodku potasu: jeżeli ołów się znajduje, występuje osad żółty.

Na zakończenie powiedzieć musimy słów parę o rozbiorach rozmaitych materyałów oświetlających.

Za najlepszy uważanym być musi taki, po spaleniu którego zanieczyszczenia powietrza są najmniejsze. Takim jest właśnie dobra nafta. Ilość kwasu węglanego w 1 litrze powietrza przy oświetleniu odpowiadającem 6-ciu świecom normalnym, wynosi zaledwie 0,56 ctm. sześc., więcej bo aż 1,09 przy gazowem, najwięcej zaś przy paleniu świec stearynowych. Stosunek tu, gdybyśmy naftę przyjęli za 1, przedstawiałby się tak: nafta 1, gaz 2, świece stearynowe 2,2. Tak samo przedstawi nam się ten stosunek i co do ilości produktów niedopalania, wyrażonych przez CH_4 (gaz błotny): nafta—1, gaz—4,4, świece 6. Dobra zatem nafta pod każdym względem warunkom odpowiada i zaraz na drugiem miejscu po oświetleniu elektrycznem stać powinna.

CO TO JEST?...

Gorliwy klerykał i konserwatysta, p. Gustaw Plewako, niesyt sławy, jaką mu przyniosło jego nagrodzone na konkursie rolniczym dzieło, chciał sięgnąć po piękniejsze wawrzyny i okadziwszy ekonomiczno-społecznym trybularzem większą własność, rzekł do siebie:

Je serai plus papiste que le pâpe! Moi bracia po druhu, kochają chłopa ze strachu, rachują się z nim, bo rachować muszą... ale ja w kozi róg go zapędzę i dowiodę jasno, że chłop polski, jako element niepotrzebny i szkodliwy, co najwyżej zdać się może na skolonizowanie... Sachalinu!.."

I rycerskim ożywiony animuszem, spłodził szereg artykułów, które pojawiły się w *Słowie* pod tytułem: „Wiara w chłopa."

Co to jest? Nie chęć przysłużenia się „większej własności," bo ta, bądź co bądź, wie, że chłop jest siłą ważną i że go trzeba uspołecznić dla własnego bezpieczeństwa. Nie pragnienie obalenia teoryi „podporządkowania," boć dziecko nawet spostrzeże, że chwiejne, płytkie i naciągnięte dowodzenia p. Plewaki nie wytrzymają najszłabszej nawet krytyki? A więc?

Zobaczmy.

W artykule pierwszym „Geneza włościańskiego dorobku" autor na seryo utrzymuje, iż chłop kapitały, którymi obecnie nabywa grunta większej własności, zebrał jeszcze za czasów... pańszczyźnianych, ale ponieważ wtedy „wszelkie umieszczanie grosza przedstawiało dla włościanina pewną trudność, że żył w nieuzasadnionej podejrzliwości, ażeby ujawniony zasób pieniężny nie był mu zabrany, więc też zasób ten z ojca na syna ukrywany (!), przetrwał nienaruszony do lat siedemdziesiątych" (!!!). Co wobec takiego odkrycia powiedzieć? Chyba że autor lekkomyślnie żartuje sobie z ogółu, prawiąc mu bajkę o ukrytych skarbach, które chłop za czasów pańszczyźnianych zebrał. Dla takich twierdzeń społeczeństwo nasze jest już za dojrzałe.

Pierwsza ta jednak geneza dorobku włościańskiego rozśmieszyła widać samego autora, bo o parę wierszy dalej pisze: „Znaczniejsze dorobki włościańskie, o ile istnieją, nie z roli i nie z własności ziemskiej po większej części powstały." Tu p. P. objaśnia, w jaki to sposób w jego okolicy włościanie przyszli do majątków. Tu spotykamy objaśnienie, że jednego włościanina ukaz z 1864 uwłaszczył na czterech włókach, drugi, obdarowany dwudziestoma sześcioma morgami, do tej pory skupił już trzy podobne kolonie, a zabiegliwością, pracą i oszczędnością, (więc nie zasobami z czasów pańszczyźnianych) uzbierał spory zasób gotowizny; trzeci, wziąwszy na siebie rolę adwokata chłopskich do dworu pretensyj, z pobieranych na procesy składek, które w jego kieszeni uwięzły, wyrosł na bogacza. Chociaż żaden z tych przykładów, zwłaszcza zaś drugi, nie popierają pierwiastkowej genezy, nad taką niezrozumiałą pomyłką autora przechodząc do porządku dziennego, czemu innemu poświęcimy chwilę uwagi.

Oto żaden poważny publicysta i gruntowny badacz spraw społecznych nie opiera się na danych z własnej parafii zaczerpniętych, lecz z ogółu stosunków, z cyfr statystycznych wytwarza sobie obraz położenia i według tego stawia wnioski. Skutkiem tego przypowieść np. o bogaczu z Psiej Wólki pozostanie tylko niezręczną powiastką.

W następnem pisaniu p. Plewako wytwórczość gospodarstw włościańskich stawia o wiele niżej od dworskich. Wprawdzie mówiono już o tem za czasów króla Ćwieczka, ale wiadomo również, że większa wytwórczość idzie zawsze w parze z większą inteligencyą i znajomością zawodową, której włościanie nie mają i za co ich winić nie można. Szkoda tylko, że podając produkcyjność *dobrze kierowanych* gospodarstw folwarcznych, porównał ją p. P. z *ogólną przeciętną* wszystkich typów małej własności, bo należało tę ogólną przeciętną zastosować do gospodarstw dworskich i chłopskich, a wtedy zobaczylibyśmy, czy różnice wypadłyby tak znaczne.

Bardzo — o bardzo mądry jest bilans chemiczny gospodarstw włościańskich, ułożony przez p. Plewakę. Przyjmując cyfry podane za zgodne z rzeczywistością, zapytujemy: dla czego tuż obok autor nie postawił nam bilansu ekonomicznego gospodarstw dworskich, bo wtedy moglibyśmy ocenić, czy te ostatnie czynią zadość wymaganiom ekonomii rolniczej? Wreszcie, czy teorya „zwrotu" tak gorliwie w tym razie broniona nie jest piosnką przestarzałą i czy tej miary, co p. P. publicysta, powinien był w nią uzbrajać działa przeciwko małej własności wytoczone?

Zastanawiając się nad prądami, zalecającymi parcelacyę większej własności na rzecz małej, wkracza autor na pole dążeń komunistycznych proletaryatu, boi się, byśmy czyniąc zadość tym żądaniom nie stanęli na pochyłości warsztatów narodowych z 1848 roku i dowodzi, że położenie chłopa bezrolnego jest o wiele szczęśliwsze, aniżeli będzie wówczas, kiedy on posiądzie tytuł własności ziemi, za pożyczany pieniądz przezeń nabytej. Wpada tu p. P. w ostateczność i nic nie mówi o parcelacyi, którą gdzieindziej, jako pożyteczną, a w wielu razach konieczną — zalecał.

Najpoważniejszym argumentem — według niego — mającym ostatecznie przekonać, że własność mała nie posiada żywotności i sił, któreby ją czyniły pożądanym czynnikiem społecznym, jest powoływanie się na przykład Francyi, Włoch, Niemiec, Austro-Węgier, gdzie gospodarstwa włościańskie stopniowo nikną, tonąc w latifundyach. Dowodzenie to poparte jest cyframi, zaczerpniętemi z urzędowych sprawozdań statystycznych. Nie myślimy bynajmniej zaprzeczać faktowi, zwracamy tylko uwagę p. P., że to, co według niego miało być ostatecznem zwycięstwem sprawy, której broni, osłabia ją właśnie i w niekorzystnem świetle stawia. Gdyby autor, powołując się na Mayera, od którego główne dane powyższe zapożyczył, chciał uważnie zastanowić się nad wnioskami, jakie ten poważny publicysta stawia, przekonałby się łatwo, że to zanikanie małej własności jest największą klęską ekonomiczną

i społeczną obecnego stulecia i główną przyczyną przesilenia rolniczego. Narusza ono harmonię społeczną, wytwarza proletaryat, a wzmagając siły już i tak potężnego kapitalizmu, grozi opłakanemi następstwami. To nie zła gospodarka chłopska powoduje zmniejszenie jej obszarów, ale ucisk kapitału, który obecnie na każdem polu działalności ludzkiej staje w poprzek usiłowaniom słabszych jednostek, centralizuje przedsiębiorstwo, zabija indywidualizm i podporządkowywa wszystko i wszystkich pod swą straszną potęgę. Kto prawdziwie kraj swój kocha, ubolewać tylko nad tem może, a w żadnym razie tego, co jest złem, wymagającem najspieszniejszej naprawy, stawiać nie powinien jako dowód, mający osłabiać znaczenie i konieczność istnienia stanu, do którego przyszłości i stanowiska tak wielką wagę przywiązujemy.

Z tego, co wyżej wskazano, łatwo chyba zrozumieć, na jak kruchych podstawach opiera się argumentacya p. Plewaki.

Gdyby nie nazwisko autora, bądź co bądź poważnie już w piśmiennictwie naszem znane, przypuszczalibyśmy, że cały ten szereg artykułów to wybryk chorego maniaka, który w przeddzień ostatecznego rozstroju umysłowego fantazyuje w malignie.

Skoro jednak pod „Wiarą w chłopa“ podpisał się p. Plewako, całą pracę uważać musimy za smutny objaw serwilizmu, silącego się wbrew istocie rzeczy rzucać w świat frazesy, mające poprzeć powagę stronnictwa. A jest to przysługa niedźwiedzia. Pomimo wielu wad, jakie temu stronnictwu zarzucić można, nie stoi ono aż tak nizko, by stanowisko swe musiało podtrzymywać humorystyką mimowolną. Nie znalazł się też nikt jeszcze, ktoby nietylko lekceważąco oceniał rolę, jaką lud gra w ustroju społecznym, ale wprost uważał ją za szkodliwą. Szczerze lub mniej szczerze kochamy wszyscy tego chłopa, pragniemy go podnieść i uspołecznić, a na tyle choć jesteśmy konsekwentni, że rozumiemy siłę, jaka tkwi w ludzie. A jeśli mamy mówić otwarcie, to cała walka, jaka wre w łonie tutejszego społeczeństwa, ma za przedmiot chłopa, którego wzajemnie wydrzeć sobie chcemy. To właśnie stanowi dowód, że weń „wierzymy.“

Pierwszy dopiero p. Plewako odkrył przyłbicę i z zapałem godnym lepszej sprawy chce dowieść, że chłop nasz to jednostka moralnie nizka, ekonomicznie słaba, że lud to zbiorowisko szumowin społecznych, na którego poparcie nie należy liczyć, bo wcześniej lub później pochłoną go latifundya. Kto w takim razie wypełni szczerbę? P. Plewako nie mówi. Wątpimy jednak, by latorośle szlacheckie chciały i mogły dźwigać na swych barkach gospodarstwo narodowe z pożytkiem dla kraju.

Są to już jednak dalsze przypuszczenia, których na teraz nie dotykamy. Zaznaczamy tylko, że p. Plewako, sądząc, iż osłabi wiarę społeczeństwa w chłopa, najniefortunniej pokpił sprawę, skompromitowawszy i siebie i stronnictwo, w imieniu którego przemawia.

Przypuszczając że strzał p. Plewaki był tylko pojedynczym i chybionym pociskiem, wierzymy w chłopa i wierzymy w tę część inteligencyi ziemiańskiej, która opiera swą przyszłość i byt na harmonijnem zespoleniu pracy i interesów większej i małej własności, nie chcąc tę ostatnią niszczyć lub zapoznawać — lecz uspołeczniać!

Gozdawa.

BADANIA NAUKOWE.

PEDAGOGIKA WOBEC ANTROPOLOGII.

Pod wpływem Russeau'a poczęła się idealizacya ludów pierwotnych i w ciągu dalszym dzieci — słowem, istot nieowianych tchnieniem cywilizacyjnego życia społecznego. Wszystko, co wychodzi z rąk przyrody — twierdzono — drga czystością i niewinnością, dopiero zetknięcie z ludźmi niszczy tę niepokalaność naturalną. Doszło do tego, że niektórzy spoglądali na wszystkie próby kierowania dziećmi jako na zamach przeciw zdrowotnemu działaniu przyrody i żądali pozostawienia ich własnemu samorozwojowi i samodoświadczeniu. Nowoczesna antropologia rozwiała mnóstwo poglądów w tym względzie. Możemy tu wskazać na próby prof. Miecznikowa oświetlenia, czem jest dziecko z punktu widzenia antropologii; uczony ten wykazał, że zdolność organizmu dziecięcego do przyjmowania pewnych wrażeń i uczuwania z tego powodu uczuć przyjemnych istnieje już przed dojrzeniem fizyologicznem odpowiednich organów. Wobec tego, powiada ten antropolog, owo „laissez faire, laissez passer“ pedagogiczne, wysnute z doktryny Russowskiej, musi napotkać na niejakie ograniczenie. Nowsze prace psychiatrów i antropologów z ostatnich kilku lat jeszcze dalej poszły w tym kierunku; że popędy dziecka występują bez obłudy, jeśli nie obawia się kary, nie dowodzi to jeszcze ich dodatniości. Korzystając z zestawienia wyników tych badań u Lombrosa, skreślimy je według słów jego, o ile można dosłownie i bezstronnie.

„Jak w płodzie widzimy stale i prawidłowo pewne formy, stanowiące przecież u dorosłego oznakę potworności, podobnież w pierwszych latach życia ludzkiego spotykamy zarodki przestępstwa i obłąkania moralnego nie w postaci wyjątku, lecz zasady.“ Całe usposobienie emocyonalne dziecka przypomina zachowanie się skreślonego w artykule poprzednim typu zbrodniczego. Zwłaszcza w pierwszych chwilach życia jest gniewliwe; złość wybucha żywiołowo, z błahych powodów lub często bez widocznej przyczyny. Wystarczy odmówić jakiemuś kaprysowi lub zwlec z natychmiastowem zaspokojeniem żądania, a już ono dochodzi do formalnej wściekłości. Mściwość i zazdrość wiążą się nierozłącznie z gniewliwością; płacz ze złości trwa póty, dopóki nie wywrze ono zemsty na sprawcy; jeśli to nie następuje, rzuca się i gryzie samo siebie. Zazdrość często nie zna granic; nie znosi ono pochwały udzielonej komuś, ani nie może spokojnie patrzeć na łaskawe obchodzenie się z innemi dziećmi, przekłada zniszczenie zabawki nad użyczenie jej drugiemu. Odznacza się skłonnością ku kłamstwu i uparcie zaprzecza winy mimo jawnych dowodów. W jakim stanie dzieci są zdolne do upartego trwania w łgarstwie, kryminalistyka dostarcza mnóstwa dowodów. Przytoczymy jeden. Pięcioletnia dziewczynka słyszy, jak przybrana matka czyta opowiadanie o pewnej skandalicznej sprawie; w kilka dni potem skarży się, że została ofiarą plugawego nadużycia; rozpoczyna się śledztwo sądowe, w którem wszystko okazuje się kłamstwem. Wychodzi na jaw, że uczyniła to w chęci stania się głośną. Dziecko, jeśli postępuje „dobrze,“ w większości wypadków czyni to jedynie ze strachu kary lub ażeby otrzymać pochwałę; również nie jest zdolne do trwalszych i głębszych uczuć; kiedy spostrzeże, że ktoś je kocha, okazuje wzajemność, pomnąc na otrzymane podarunki lub w nadziei nowych; skoro zaś zawiedzie się w wyrachowaniach, nie ma już więcej mowy o jakiemś przywiązaniu. Wiek młody nie zna litości i miłosierdzia i niepodobna chyba znaleźć dziecka, nienadużywającego przewagi fizycznej, gdy ma do czynienia z istotą słabszą od siebie; nawet przywiązanie nie zapobiega znęcaniu, jak to można zauważyć w zachowaniu się dziecka względem ulubieńców zwierząt. Odznacza się ono lenistwem umysłu, co nie wyklucza przecież nadzwyczajnej ruchliwości w wynajdywaniu zabaw; lubi bowiem nowość, lecz gdy ta nie męczy mózgu. Bez niechęci bierze się do przerobienia zadania, które nauczyło się już rozwiązywać, ale wymawia się od rozpoczęcia nieznanego. Zwłaszcza warto zaznaczyć lenistwo w utrzymywaniu ciała czysto. Próżność i chełpliwość grają wielką rolę; dziecko jest chore na rzeczywistą manię wielkości, pyszni się z lada błahostki, bez ceremonii posługując się łgarstwem. Z namiętnością oddaje się grze w karty, również wielki pociąg czuje ku napojom alkoholicznym. Jak małpa gotowe wszystko przedrzeźniać i nie powstrzymuje się żadnymi względami; naśladownictwo pobudza je niekiedy do popełnienia zbrodni. Zupełnie brak mu przezorności, tak, iż żyje jedynie dniem dzisiejszym.

Jeżeli zestawimy wszystkie te stany umysłowe i uczuciowe, otrzymamy doskonałą podobiznę typu zbrodniczego. Wszyscy też „wielcy“ złoczyńcy wykazali naturę taką już za lat dziecięcych. Z drugiej strony, kryminalistyka może wskazać mnóstwo przestępstw, popełnionych przez dzieci z zupełną świadomością i jasnym celem — dostarczenia sobie przyjemności na widok cudzych cierpień. Skorzystamy z kilku przykładów, nagromadzonych w dziele antropologa włoskiego. W jednej miejscowości wydobyto ze studni trupa dwuletnicj dziewczynki, w dwa dni potem — ciało niewiele starszego chłopczyka. Okazało się, że było to sprawą jedenastoletniej dziewczyny, znanej na całą okolicę z przewrotnych skłonności, jako też z tego, iż nigdy nie mogła znaleźć się w obecności młodszych od siebie, ażeby nie znęcać się jakimkolwiek sposobem; ona to wepchnęła do studni obie ofiary. Chłopca jedenastoletniego zatrzymano po raz ósmy za włóczęgostwo; przyznaje, iż w domu karmią go dobrze i obchodzą się łagodnie, ale mimo to przekłada on swobodę i za żadną cenę nie wróci do domu; jeśli go poprowadzą, znów się wymknie. Dwunastoletnia córka bandyty szkockiego, osądzonego za ludożerstwo, wykazuje to samo, co ojciec, ohydne upodobanie: „I dlaczegoż ma uczuwać niesmak? Gdyby wiedziano, jak smacznem jest mięso ludzkie, wszyscy pożeraliby własne dzieci!“ We wszystkich trzech przykładach mamy do czynienia z tą samą „siłą nieprzepartą,“ która „zbrodniarzowi z urodzenia“ każe szukać zaspokojenia chuci swych w występku. Istnieje ona w dzieciństwie i, jeśli nie zostanie zagłuszona, rozrasta się z wiekiem. Różnica zachodzi o tyle, że kiedy jednostki ze skłonnościami zbrodniczemi wśród dorosłych stanowią wyjątki patologiczne, wśród dzieci należą raczej do zwykłych okazów — brak tylko sposobności, lecz nigdy chęci. I winniśmy zauważyć, że niepodobna tych młodych zbrodniarzów uważać za idyotów; przeciwnie, usposobienie zbrodnicze iść może łącznie z doskonałą inteligencyą. Jako dowód tych upodobań można przytoczyć ogólnie znany pociąg dzieci ku popełnianiu kradzieży. Daje się również spostrzedz przedwczesna lubieżność, szukająca wyjścia w różnych nienaturalnych zaspokojeniach. Wszystkie potworne wyjawy żądzy płciowej, o ile nie mają źródła w zgrzybiałości, uwidoczniają się już w latach dziecinnych. Tak u gwałcicieli okres zupełnego drzemania popędów płciowych stanowi 2,7% życia, wówczas gdy u człowieka nieprzestępcy — 8,8%! Prof. Miecznikow uważa to za rzecz zupełnie wytłomaczoną. Organizm dziecka jest już wrażliwy na podniety lubieżne i nawet znajduje w tem przyjemność, jakkolwiek organy odpowiednie zgoła nie są jeszcze dojrzałe i uzdolnione. Najmniejsza okoliczność, która da pokosztować wrażeń stosownych, może doprowadzić do stworzenia najnienaturalniejszych wad.

Wszelako przytoczenie kilku anegdotek nie może i nie powinno służyć za dowód ostateczny. Czuje to dobrze uczony włoski i opiera swe zapatrywanie na ogólniejszem podścielisku. Jak rozwój płodu ludzkiego w swym antologicznym przebiegu odtwarza jedynie ogniwa, przez które fylogenety-

cznie przechodził świat zwierzęcy, zanim się wcielił w kształty ludzkie, podobnież dziecko, pod względem psychicznym i nawet, jak dowodzi Spencer, fizycznym, powtarza rozwój historyczny — człowieka dzikiego w cywilizowanego. Naturalną jest przeto rzeczą, że u dziecka znajdujemy taki niski stan emocyonalny, takie słabe uporządkowanie uczuć. To wszystko w miarę rozwoju przekształca się pod wpływem otoczenia; wyjątek nieliczny stanowią tylko patologiczne jednostki pokroju epileptycznego, z którego wychodzą i „obłąkańcy zmysłu moralnego" i „zbrodniarze z urodzenia." Zresztą Lombroso i na tem nie poprzestaje. Ażeby wykazać przeważanie skłonności zbrodniczych w wieku dziecięcym, przedsięwziął odpowiednie poszukiwania w szkołach ludowych i domach poprawy. Znalazł, że fizyczne cechy typu zbrodniczego są wśród dzieci o wiele częstsze, niż u dorosłych, np. osadzenie prostopadłe ucha, wysunięcie szczęki itd., co z czasem zaciera się. Biorąc wychowańców zakładów karnych, otrzymał zwłaszcza niezmiernie wielki procent przedstawicieli owego typu. Otóż, jeżeli brać będziemy pod uwagę połączenie ogółu cech, dostaniemy 50%; jeżeli zaś jedynie obecność pojedynczych, 91% zamkniętych w zakładzie. Wpływy dziedziczne alkoholizmu, waryactwa i przestępstwa występują tu z całą jaskrawością. W szkołach ludowych dzieci ze skłonnościami niespołecznemi, takiemi, jak: zbyteczna gniewliwość, upodobanie do lenistwa i włóczęgostwa, łgarstwo, popędy ku niszczeniu i znęcaniu się wynoszą aż 44%; ze skłonnościami zbrodniczemi (przedwczesna i nienaturalnie zaspakajana lubieżność, złodziejstwo itd.) dochodzą do 17%. Warto zauważyć, że wśród tej kategoryi fizyczne cechy zbrodnicze spotykają się dwa razy liczniej, aniżeli u dzieci, których sprawowanie się jest bez zarzutu. Zresztą wyniki tych drobiazgowych i szczegółowych poszukiwań scharakteryzujemy słowami samego badacza: „Anomalie moralne, które u dorosłego sprowadzają przestępstwo, wśród dzieci zdarzają się w stosunku daleko znaczniejszym i z temi samemi oznakami; te anomalie później nikną, po części dzięki odpowiednim wpływom wychowania i tem to należy wyjaśnić taki mały stosunek typu zbrodniczego u dorosłych, gdyż jego zaniku nie tłomaczą wystarczająco ani śmiertelność, ani też ta okoliczność, że wielu unika karzącej ręki kodeksu."

Jak widzimy, Lombroso przyznaje bardzo wiele znaczenia wpływom wychowania, lecz jednocześnie zauważa, że sfera pożytecznej działalności jest ograniczoną w niektórych razach. Przypisuje on stosunkowo małą wagę pozyskaniu wiadomości czysto teoretycznych, twierdząc, że niewielki wpływ okazują nawet na dorosłego; co zaś do środków gwałtownych i karnych, wprost odzywa się, że zradzają jedynie obłudę i zamiast zastąpienia wady przez zaletę, wywołują inne niemniej fatalne braki, lecz doskonale umiejące się maskować. Wychowanie polega dlań na wytworzeniu u dziecka odpowiednich stanów uczuciowych. „Zawiera się ono w szeregu bodźców odruchowych, zwolna podstawianych na miejsce tych, co swem istnieniem zradzają skłonności przeciwne lub przynajmniej sprzyjają ich powstawaniu. Należy w tej mierze przywołać na pomoc popęd naśladowniczy, nawyknienia zrodzone w obcowaniu z ludźmi uczciwymi i zapobiegać poczęciu idej występnych." Radzi za wszelką cenę stłumiać popędy zazdrości — nie rózgą, lecz przez wystrzeganie się dawania dziecku odpowiedniej sposobności; ukracać próżność i zarozumiałość — ale drogą doświadczalną, przez wykazywanie na przykładzie niższości jego a wyższości innych. Zwraca uwagę, że dzieci są często smutne i okrutne, a nawet posuwają się do samogwałtu jedynie wskutek robaków, rachytyzmu itd. i że jedynym środkiem jest wtedy pomoc lekarska. Nawet w tak krańcowym przypadku, jak samogwałt, kara nic nie może wskórać, zdaniem jego, przynajmniej nie tyle, co pewne środki zapobiegawcze, w rodzaju dostarczenia dostatecznej ilości powietrza, światła i przestrzeni, usunięcia pewnych pokarmów i napojów alkoholicznych, w ostateczności zaś przez użycie rozumnie stosowanej gimnastyki. Ale są przypadki, gdzie wszystkie środki pedagogiczne zawodzą, mianowicie, gdy mamy przed sobą skłonności zbrodnicze, wynikające z patologicznego ukształtowania. Nie pomogą tu żadne domy karne, będące raczej tylko źródłem zepsucia. „Dla kraju korzystniejszem byłoby natomiast wzniesienie budynków dla obłąkańców zbrodnictwa lub, jeszcze lepiej, stały i dożywotni przytułek dla małoletnich, dotkniętych obłąkaniem zmysłu moralnego lub popędami zbrodniczymi nie do wykorzenienia." Jest tylko jeden środek skuteczny zniweczenia tych natur nierokujących poprawy — powstrzymanie ich przyjścia na świat. Winniśmy bowiem nie zapominać, że każdy opilec nałogowy, każdy epileptyk i zbrodniarz z urodzenia rzadko kiedy daje życie istocie, wolnej od popędów występnych; najskuteczniejszem byłoby zamknięcie drogi tym patologicznym okazom do rozmnażania się — przez dożywotnie szpitale.

Usiłowaliśmy możliwie najdokładniej przedstawić zapatrywania Lombrosa na naturę dziecka i zadanie wychowawców; jest to zresztą stanowisko już nie pojedyncze, lecz liczące dość znaczny zastęp przedstawicieli *). Zadają one cios stanowczy owej teoryi staroświeckiej, która wyłoniła się w dworach szlacheckich pod wpływem atmosfery pańszczyźnianej i streszczała się w powiedzeniu, że „różdżka jest to dar ducha świętego"; albowiem jeśli złe skłonności dziecka jako twór wad organicznych, są nie do wytępienia, rózga nic nie wskóra — krom znęcania się nad biednym „obłąkańcem zmysłu moralnego"; kiedy zaś dziecko nie jest takim patologicznym okazem, owa ulubienica bohaterów W. Pola zradza jedynie krnąbrność, obłudę, służalstwo i czyni niemożliwem zastosowanie skuteczniejszych i humanitarniejszych środków. Fakty, z których uczony włoski wychodzi, a które antropologia z dniem każdym pomnaża, zasługują na bliższe poznanie, chociaż być może, w ich przedstawieniu jest niejaka przesada; lecz i w tym razie o obowiązku pedagogów i rodziców zaznajomienia się z nimi nie potrzebujemy rozprawiać.

Dla uniknięcia nieporozumień musimy tu uczynić jedno zastrzeżenie co do Lombrosa. Praca jego o „Człowieku-zbrodniarzu" liczy kilka wydań, przedstawiających raczej zgoła nowe dzieła. Pod wpływem własnych i obcych badań uczony włoski nietylko rozszerza, ale nawet zmienia swe poglądy, do czego otwarcie się przyznaje, i kto sądziłby o nim z pierwszego wydania, być może nie poznałby go w ostatniem. Jego teorya zbrodnictwa została wysnuta dla teoretycznego usprawiedliwienia tej antihumanitarnej opozycyi, która poczęła się przeciw usunięciu rózeg z wychowania dzieci, zniesienie kary śmierci itd. Obecnie Lombroso, jak może czytelnik sądzić z najnowszego wydania „Człowieka-zbrodniarza," stanął na bardziej ludzkiem stanowisku. Nie potrzebujemy wspominać, że fakty nagromadzone przez tego uczonego, zgoła nie wymagają wniosków, do których niegdyś doszedł. Za dowód niech posłuży Letourneau, który umiał je osłonić szatą humanitarnego i skutecznego zarazem postępowania. Takie wnioski i my uczyniliśmy z faktów, nagromadzonych przez Lombrosa co do dzieci (zresztą sam autor upoważnił nas do tego zachowaniem się w ostatniem wydaniu swego dzieła).

Lud. Krz.

*) Tu należą prace Pereza nad psychologią niemowląt i dzieci. Nadto: Roussel (*Enquête sur les enfants abandonnés*. 1882), Moreau (*De l'homicide chez les enfants*, 1882), Bourdin (*Les enfants menteurs*, 1883), prace Drilla w języku rosyjskim o nieletnich przestępcach, wreszcie artykuł Miecznikowa w *Wiestniku Ewropy* (1871, nr. 1) o pedagogice z punktu widzenia antropologii.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

XI.

Psychologia pisma. — Próbka Héricourta. — Wiele hałasu o nic, czyli o grafologię. — Czem jest tragiczność wedle Duboc'a. — Mój idealizm i odpowiedź „najserdeczniejszym."

Wspominając niedawno o zabawce, jaką nastręcza rzecz na pozór prosta i powszednia — pismo, nie sądziłem, że tak prędko będę mógł złożyć dowody jej natręctwa i przesadzonych roszczeń. Ile zdrowej, a niekiedy i ścisłej logiki pochłania ona pomimo ograniczonego zakresu obiecywanych rezultatów — przekonać się można, nadsłuchując wrzawy w dzisiejszej psychologii francuskiej. Jaką subtelność rozumowania rozwijają dla niej, widać z ciekawego zresztą szkicu Héricourta. Oto, co on prawi:

Wszystkie składowe części liter są łukami i jakkolwiek na pozór wielką odgrywają rolę tak zwane laski, to jednakże w piśmie szybkiem i wprawnem, czyli zawsze mniej lub więcej oddalonem od wzoru kaligraficznego, linie przybierają kształty krzywizn. Pod tą dążnością ogólną ukrywają się bardziej specyalne, wedle których możnaby rozklasyfikować wszelkie rodzaje pisma. A mianowicie: dla zatoczenia koła lub też jego odłamu wprawiamy rękę w ruch, albo idący z prawej strony ku lewej, albo też odwrotnie. Nadto może się iść górą lub dołem. Ostatnie dwa wypadki ze względu na to, iż papier jest płaszczyzną, dla której piszący stanowi poniekąd oś, odpowiadają niejako dążności dośrodkowej lub też odśrodkowej. Tym sposobem pismo prawidłowe powinno właściwie wymagać równomiernej wprawy w wykonywaniu zakrętów wszystkich czterech kierunków. Naprzykład duże B pisane ma z prawej strony dwie wypukłości, z których każda jest łukiem lewym odśrodkowym w dolnem zagięciu, a prawym dośrodkowym, czyli biegnącym ku osobie piszącego — w górnem. Może więc należycie być wykończonem, jeśli ręka całkiem swobodnie wszelkie krzywizny nakreśla. Lecz pospolicie bywa inaczej. Przeważa ta lub owa zdolność; u jednych wszystkie łuki zwracają się wypuklinami na lewo, u innych na prawo; ci znowu łączą laski krzywiznami u góry, tamci u dołu. Połóż przed sobą kilka próbek pisma i rozetnij je myślą na wspomniane wyżej cztery rodzaje łuków, a zauważysz łatwo tak znamienną przewagę w niem któregokolwiek, że zgodzisz się może na podział okazów grafologicznych według tych właśnie cech. Co więcej, ujrzysz ciekawe zjawisko: kierunek lewy lub prawy wypiera rozmaitymi sposobami swego przeciwnika; to cieniuje staranniej własne swoje, uprawnione krzywizny, to niedbale rysuje odwrotne, a pomija je, gdzie tylko bez wielkiej szkody dla czytelności uczynić to można; wyzyskuje każdą sposobność, by przyozdobić się zakrętasem w swoim duchu itd.

Kajetan Delaunay, Karol Henry, M. Féré uprzednio już wyciągnęli z tych różnic pewne wnioski, na które Héricourt całkiem się zgadza. Twierdzi on, iż tendencya, którąby nazwać można lewą, jako przeciwna zasadniczemu kierunkowi pisma, prócz chyba języków semickich, jest przeszkodliwą a tem samem pochłania więcej czasu i świadczyć musi o powolniejszym biegu myśli; podczas gdy skłonność odwrotna daleko mniej zabiera czasu, jest bardziej naturalną i każe przypuszczać umysłowość dzielniejszą, pracę mózgową szybszą.

Niestety jest to spostrzeżenie nader ogólnikowe i do ram jego łatwo dopasować tysiące portretów; co najwyżej przyznać można, że dowcipnym i zręcznym jest ten szkic teoryi, oparty na zasadach logiki i mechaniki. Autor zaznacza, że inną zupełnie drogą otrzymano potwierdzenie owych rezultatów. Ferrari i Karol Richter, wprawiwszy w sen hypnotyczny pewną osobistość, poddali jej jaźń Michała Anioła. W tym stanie pismo miało wszystkie właściwości prawego; gdy zaś podsunięto jej naturę bardziej słabą, osiągnięto podpis, który wprawdzie nie uderzał znamionami pisma lewego, lecz za to okolony był wspaniałym zakrętem o dążności lewej.

Hypnotyzm i grafologia! Dwa modne prądy już się połączyły, już na się wzajemnie oddziaływają. Uśmiechasz się na wieść, że naród wykształcony najlepszą może cząstkę swoich rozumowań poświęca tworom przemijającym i jak drugi z nich, nie zdolnym wcale do zajęcia poważnego miejsca w dziedzinie pomysłów, co mają objaśniać wielkie zagadki świata. Czytając owe sążniste rozprawy patentowanych fizyologów o tem, jak łączy się w piśmie uśpionego osobisty jego charakter z cechami jednostki, którą mu być kazano, przypatrując się głęboko zadumanej minie Hoctésa, gdy kobiecie w sen wprawionej, wmawia, iż jest Napoleonem i niezliczone wnioski wyprowadza z jej bazgrot — kiwasz z politowaniem głową. Gotów jestem wtórować ci, bo w rzeczy samej strach ogarnia na myśl, że ten kumberlandyzm przybrany w profesorską togę rozmnoży się w setkach nowych „logij.“ Nalykawszy się filozoficznej „wasserzupki“ — francuzi pisać będą o duchowych prawach czesania włosów, strzyżenia wąsów i zaleją swoje miesięczniki potopem bzdurnych ciekawostek, wtedy, gdy odłogiem leżą szerokie pola socyologii, dziejów religii, estetyki i tylu innych prawych dzieci badawczości ludzkiej, które strwożone uciekły gdzieś przed rozpanoszonymi intruzami. Doprawdy, lepsze już metafizyczne łamańce niemców — stokroć przyjemniejsze dla sprawozdawcy, chcącego być echem myśli filozoficznej i zmuszonego zapisywać wszystko...

Spieszę więc zatrzeć przykre wrażenie wzmianką o dziele nader ciekawem znakomitego estetyka germańskiego Duboca *Tragiczność z punktu widzenia optymizmu*. Dziwnie i zastanawiająco brzmi to połączenie sprawy dosyć specyalnej, dotyczącej tylko pewnych zagadek piękna, z filozofią wartości życia — nieprawdaż? Otwórzmy książkę, a wnet znajdziemy przyczynę tajemniczego związku. W mniemaniu starożytnych nad czynami człowieka ciążyła fatalność i parła go niezmożenie do zbrodni. Całe rody, jak Edypa, padały ofiarami przeznaczenia. Jakiś ukryty dla oka i rozumu porządek świata żądał bezwzględnego dla siebie posłuszeństwa a opornych karał z pokolenia w pokolenie. W tem tkwiło źródło tylu śmierci męczeńskich i bohaterskich, rozsławionych przez poetów greckich. Skłonność do występku nurtowała niekiedy najszlachetniejszych; trzeba było pokutować za nią. Taka wiara mniej lub więcej wyraźnie prześwieca w sztukach klasycznych, które przeto słusznie możnaby nazwać pesymistycznemi. Z czasem pogląd ten ustąpił miejsca innym. Czciciele formy, jak Goethe i Schiller, niechętnie przyznawali tragedyi posłannictwo dźwigania pogwałconych praw moralnych. Dla nich poeta miał jedyny cel — rozkosz, wszystkie inne były dlań obojętne. Duboca ów hedonizm wcale nie zadawalnia. Prawda — twierdzi on — że tragedya wywołuje wzruszenie, budzi współczucie i miłość dla ginącego bohatera, ale nie miłe połechtanie nerwów winno być jej zadaniem. Ono jest raczej jej wadą i tem, co zniechęcił umysły wieszczów i krytyków, prowadzi tragedyę do upadku. Zrosztą trudno po prostu pojąć, jakim sposobem cierpienie może się w widzu zamienić w stan zadowolenia, a jeśli już ten cud stał się, to wystarcza on co najwyżej dramatowi, ale niechaj nie sięga po zaszczytne miano tragedyi.

Oto, co niemieckiemu pisarzowi nie podoba się. Jeszcze chwilę cierpliwości, a poznasz, czego jest zwolennikiem.

Naprzód podwalina ogólna. We wszechświecie istnieje ład i rozwój, a nie złośliwa siła, znęcająca się nad mrowiskiem ludzkiem. Ożywia nas wszystkich chęć wydoskonalenia się, ba, nie nas tylko, ale całą nieskończoną przyszłość. Jakiemi drogami kroczyć będzie postęp — o to mniejsza, dosyć, że odbija się on w człowieczeństwie zacnemi a niezmordowanemi usiłowaniami. Otóż moment tragiczny w poezyi jest właśnie uprzytomnieniem tej potężnej dążności, podnosi on jednostkę ponad drobne przygody życia i daje jej poznać wyższy porządek. Co dla greków było nakazanem przez bogów, dla średniowiecznych chrześcian wymaganiem Opatrzności — to w naszych czasach winno być rozumiane jako zasada rządząca, która gdy zostanie podeptaną, żąda wnet przywrócenia równowagi; kara powinna dosięgać tego, co uległ w walce z namiętnościami i obraził wiekuistą, dodatnią prawidłowość. Gdy uczyniono jej zadosyć — słuchacz uczuwa tryumf, jeśli nie, domaga się zemsty, a jednocześnie darzy sympatyą bohatera, albowiem sprzymierza się z ideałem, w imię którego tamten kona. Nic dziwnego, że ta postać sztuki jest najwyższą i tak też pojmował ją Lessing, któremu niesłusznie czyniono zarzut, że z tragedyi zrobił dom poprawy.

Nie wiem jak komu, ale mnie podobne umieszczenie punktu ciężkości tragedyi trafia do przekonania. Ośmieliłem się kiedyś wygłosić zdanie, że piękno jest tylko odtworzeniem rozkoszy zmysłowej, moralnej czy umysłowej i że naodwrót, nie masz takiego zadowolenia w żadnym z tych trzech rodzajów wrażeń, któreby nie znalazło sobie wyrazu w poezyi lub sztuce. Daruj więc, jeśli oświadczę się całkowicie za Dubociem: w wielkich starciach uczucia z prawem, rysowanych genialną dłonią Sofoklesa lub Shakespeare'a, cała niespożyta moc wstrząsania losami Antygony, Makbeta, Otella, Hamleta, cały ich urok *estetyczny* polega właśnie na dostarczeniu nam widoku zwycięztwa idei wyższej nad niższą. Kojarzenie pojęć tumani myślą, że to miłość dla męczennika dreszczem nas przejmuje a tkliwym łzy z oczu wyciska, lub że to świadomość naszego bezpieczeństwa wobec niedoli osób działających na scenie, rozkosznie przyspiesza bicie serca — ale rozbiór troskliwszy złudzenia owe rozwiewa. Pierwsze jest jeszcze znośnem, bo sympatya dla prawdy moralnej również łatwo udziela się jej rzecznikowi, jak życzliwość dla tego ostatniego — aktorowi, który go przedstawia. Lecz drugie, daleko więcej oklepane, może co najwyżej wytłomaczyć radość dziecka na widok groźnego pożaru. Naturalnie, nauka o postępie, którą wyznaje Duboc, ma dosyć mało styczności z jego teoryą piękna tragicznego i przypomina nieco piąte koło u wozu, to też: można ją przyjąć z dobrodziejstwem inwentarza...

Przypuszczam, że tak idealistyczne *credo* wyjedna mi choć częściowe przebaczenie u Kalchasów, którzy mię ostatnimi czasy zaczęli straszyć gromami — nawet nie blaszanymi, lecz papierowymi. *Przegląd katolicki* srodze oburza się za „propagandę niewiary,“ jakiej dopuściłem się, streszczając *Chrystusa* Anatola Rembego. Jemu zarzuca, że powtarza Rénana (zdumiewająca doprawdy znajomość dzieł indeksowych), mnie — żem czyjeś sprawozdanie... przetłomaczył i za swoje podał (dziwnie chrześciańska powaga w polemice, a jeszcze dziwniejsza siła argumentów). Wobec tak okropnych ciosów, mam nadzieję, że obadwaj — ocalejemy.

Trudno może mi przyjdzie ostać się przed pociskami i groźbami bezimiennego przyjaciela *Prawdy*, który niby członek weneckiej rady dziesięciu, już po raz drugi straszy mię inkwizycyą za krzywdę jakoby wyrządzoną p. Dębickiemu. Gniewa go wielce, że „podkopuję wiarę“ bezkarnie, bo ukryty za szańcem pseudonymu; obraża się, że świątobliwe jego nawoływania zbywam milczeniem i zwie „arogantem“ i „tchórzem“ i wreszcie przyrzeka „zdemaskować.“ Otóż przedewszystkiem nie milczę, lecz powtarzam w duchu za Heinem: *O Gott, wie gross ist dein Thiergarten*! — nie jestem arogantem, gdyż złożyłem Panu hołd, jaki się tylko umarłym składa, mianowicie westchnąłem za Pana do... św. Jana, a nadto taką posiadam rycerskość, że oszczędzam mu trudu... demaskowania mię.

N. Hirszband (Robon Dion).

LITERATURA I SZTUKA.

RUSIŃSKA LITERATURA ALBUMOWA.

III.

Co roku w początku marca obchodzą lwowscy narodowcy rocznicę zgonu największego poety Rusi-Ukrainy, Tarasa Szewczenki. Jest to ich święto narodowe, które obchodzone bywa między innemi jaknajstaranniej urządzonym wieczorkiem muzyczno-deklamacyjnym. Od lat przeszło dwudziestu weszło w zwyczaj, że wieczorek ten rozpoczyna się przemową jednego z wybitniejszych narodowców, w której prócz biograficznych i literackich uwag o poecie, wygłoszone bywają ich poglądy bądź to na jego utwory, bądź też na same sprawy narodowe i społeczne, poruszone przez poetę. W ubiegłym marcu ułożenie takiej przemowy poruczono p. Ceglińskiemu, obecnemu redaktorowi *Zori* i autorowi komedyj, ocenionych w jednym z poprzednich moich artykułów tegorocznej *Prawdy*. P. Cegliński zdziwił nas niepomału, wspomniawszy bowiem ogólnikowo o ideałach Szewczenki i zaznaczywszy, że galicyjscy narodowcy pracują dla ich urzeczywistnienia, roztoczył przed licznie zgromadzoną publicznością obraz 26-letniej pracy ogólnej, jej zdobyczy i dalszych celów. Była to więc przemowa w pełnem znaczeniu programowa. I jakże określił p. Cegliński ten program? „Jesteśmy stronnictwem *konserwatywno-narodowem*. Uważamy wiarę za podstawę naszej narodowości i za podstawę dalszego rozwoju narodowego. Wygłaszamy to otwarcie wobec duchowieństwa i jego władz, które bezpodstawnie podejrzywają nas o obojętność religijną, jako też wobec tych żywiołów radykalnych, któreby chciały wiarę zostawić na boku przy oświecaniu ludu. Mimo to jesteśmy partyą narodową, która idąc za przewodnictwem Szewczenki, w ostatnich 26 latach dokonała w Galicyi prawdziwej *rewolucyi społecznej*, gdyż zniosła przedział między ludem a inteligencyą.“ Następnie starał się wskazać szczegółowo te myśli, wcielane w utworach rusińskiej beletrystyki, nauki i sztuki. Prawda, przy tym wykazie zmuszony był niejednokrotnie wciągać do „narodowo-konserwatywnego“ taboru ludzi i pisma, niemające z nimi nic wspolnego, począwszy od samego Szewczenki, a skończywszy na piszącym te słowa. Charakterystycznym był ustęp przemowy (cytuję z pamięci, gdyż drukiem nie ogłoszona, wrzekomo z obawy, żeby c. k. prokuratorya nie skonfiskowała): „Wielce pocieszającym objawem jest też przebudzenie się naszych kobiet, które obecnie przystąpiły do wydania *Albumu kobiecego*, po którym możemy się spodziewać, że zredagowany będzie w duchu tych samych przezemnie wygłoszonych idej.“

Już wówczas, znając dokładnie genezę tego albumu, p. Cegliński nie byłby mógł

tego wypowiedzieć, gdyby dokładnie ważył swe słowa i gdyby miał był zamiar przedstawić rzeczy tak, jak one są w istocie, a nie sypnąć po prostu piaskiem w oczy swym słuchaczom. Geneza ta nie pozbawioną będzie, tuszę, i szerszego interesu, jako charakterystyczny rys nurtujących w społeczeństwie rusińskiem prądów umysłowych i dlatego muszę bodaj pokrótce opowiedzieć ją czytelnikom *Prawdy*.

Przed kilku laty założone zostało w Stanisławowie za inicyatywą i pod przewodnictwem pani Natalii Kobryńskiej (córki posła Ozarkiewicza) „Towarzystwo kobiet rusińskich,“ którego celem miało być popieranie sprawy niewieściej zapomocą literatury, a więc z jednej strony wyjaśnienie współczesnego stanowiska i współczesnej walki kobiet w języku rusińskim i dla publiczności rusińskiej zapomocą odczytów i stosownych wydawnictw, a z drugiej — uświadamianie rusinek w tym kierunku i budzenie pośród nich ruchu równoległego z ruchem kobiet w innych społeczeństwach oświeconych. Towarzystwo zbudziło z początku wielki zapał, zyskało około setki uczestniczek, lecz wkrótce w samym wydziale zaczęły powstawać nieporozumienia. Niektórzy ludzie dobrej woli, lecz ciasnego poglądu zaczęli podkopywać się pod program związku, chcąc zwrócić działalność jego na ulubionego konika inteligencyi rusińskiej — bursę, na dostarczanie spódniczek i pończoszek dla biednych, słowem, chcąc z towarzystwa dla oświaty i pracy umysłowej zrobić towarzystwo filantropijne.

Dopóki jednak p. Kobryńska była prezydentką, udawało jej się, choć z trudnością niszczyć te podkopy. Trzymając się pierwotnego programu, wydział postanowił wydać „Album,“ złożony wyłącznie z oryginalnych, literackich i naukowych prac samych rusinek i porozsyłał też wezwania do autorek, poruczając kierownictwo p. Kobryńskiej. I rzeczywiście, na zaproszenie sympatycznego towarzystwa i polegając na imieniu redaktorki, która zaszczytnie dała się poznać w literaturze swą niewielką, lecz głęboko pomyślaną i wystudyowaną nowelą „Dla kawałka chleba,“ jako też kilkoma odczytami w Towarzystwie o współczesnej kwestyi kobiecej w Galicyi i po za granicami, odezwały się prawie wszystkie autorki, a prócz nich pospieszył znaczny zastęp młodszych, początkujących sił, przejętych jednym duchem i wierzących w jedne zasady. Zanim jednak jeszcze mogła się rozpocząć praca nad porządkowaniem nadsyłanego materyału, zaszły fakty, które p. Kobryńskiej zrobiły niemożliwem pozostawanie nadal w Towarzystwie.

Utworzono w Stanisławowie stolicę biskupią, mianowano biskupem ks. Pełcza i pośród lwowskich narodowców rozpoczął się pamiętny „na prawo zwrot“ ku tym cerkiewno-rządowo-galicyjskim ideałom, które p. Ceglińskí dość trafnie ochrzcił mianem „konserwatywno-narodowych.“ Pod wpływem tego prądu osądziło też „Towarzystwo kobiece,“ że i dla niego koniecznem jest zaskarbić sobie łaskę nowego władyki i zadać kłam pogłoskom, które wrzekomo widziały w tem Towarzystwie coś radykalnego, nieprzyjaznego kościołowi unickiemu. Postanowiono zatem ze składek członków zakupić srebrną tacę i ofiarować ją biskupowi. Dowiedziawszy się o tej uchwale, zupełnie nielicującej z programem Towarzystwa, p. Kobryńska i jeszcze kilka swobodniej myślących, wystąpiły z Towarzystwa, a p. K. postanowiła wydać rozpoczęty „Album“ na własną rękę. Wprawdzie wydział instytucyi szamotał się z nią jakiś czas, żądając zwrotu utworów nadesłanych, lecz gdy same autorki oświadczyły, że prace swe powierzyły tylko p. Kobryńskiej, zamilkł zupełnie. Tymczasem zyskała silną pomocnicę w pani Olenie Pcziłce, znanej autorce ukraińskiej i oto staraniem, jako też kosztem tych dwu niewiast przyszła do skutku książka, pierwsza w swoim rodzaju w literaturze rusińskiej, stanowiąca objaw nadzwyczaj ważny i sympatyczny.

Powtarzam, com powiedział wyżej: już znając tę genezę albumu kobiecego — powinien by był p. Ceglińskí wstrzymać się z zaciąganiem tej zbiorowej pracy pod konserwatywno-narodowy sztandar, już choćiażby dlatego, że o ruchu, jaki odbija się w tem wydawnictwie, nie słyszymy tam nic więcej prócz drwinek i cynicznych żartów. Kwestyi oświaty, pracy i praw kobiecych narodowcy galicyjscy dotychczas zupełnie nie podnieśli teoretycznie (z wyjątkiem jedynego Barwińskiego, który ją rozstrzygnął w duchu ultra-konserwatywnym), zaś w swych utworach beletrystycznych zawsze wyznaczali i wyznaczają kobiecie nędzne i podrzędne stanowisko i co najwięcej wkładają jej w usta parę patryotycznych frazesów. To też nie dziw, że ruch niewieści zaraz przy pierwszem swem pojawieniu się w rusińskiej literaturze galicyjskiej musiał wystąpić z ram konserwatywnego narodowstwa i szukać sobie własnej drogi, tembardziej, że i w obecnym albumie spotykamy, również jak i w stryjskim, pewną liczbę prac odrzuconych przez redaktorów-narodowców, jako „nieestetyczne,“ „trywialne“ lub „zanadto radykalne,“ a przeważna ich część doznałaby bezwątpienia tego samego losu, gdyby autorki ich pokusiły się o wydrukowanie swych utworów w *Zori* lub w fejletonie *Diła*.

Przeglądem treści tego albumu, który wkrótce już ma wyjść, zajmiemy się w następnym artykule. Tu tylko zauważymy, że jest to spora książka, obejmująca około 30 arkuszy druku. Wystąpiło w nim 17 autorek-rusinek z Galicyi i Ukrainy, które dały razem przeszło 45 prac mniejszych lub większych, wierszem lub prozą, beletrystycznych lub też naukowych i publicystycznych.

I. Franko.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wymiatanie niemców. — Oddychanie nienawiścią. — Kto stworzył to powietrze. — Coś w rodzaju sprawy Waliszewskiego lub „Alberta wójta.“ — Narodziny „Melioracyj rolnych.“ — P. Korzybski jako zbawca i jako ukrzyżowany przez krytykę. — Ciekawe odkrycie dr. Jentysa. — Potrzeba światła. — Moralność ludu i jej szkoła. — Dlaczego pielgrzymi utonęli. — Małe zagadnienie dla *Przeglądu kat.* — Promienie wiedzy. — Śmiech na śmiech.

Za dużo okrucieństwa niemieckie zlały do piersi polskich uczuć bolesnych, za świeżym w pamięci jest ostatni gwałt pruski, ażeby nowe prawo przeciwko cudzoziemcom, pomimo skądinąd płynących obaw, nie miało pewnem zadowoleniem radować dusz naszych. To też radują się one widokiem wymiatanych „kulturträgerów,“ zapominając o naturze źródła tej rozkoszy. Ten i ów, pomyślawszy o swoich, spuszcza głowę smutnie, ale ją wkrótce podnosi i uśmiechem rozpromienia, gdy słyszy, że gdzieś kij w mrowisko niemieckie wsadzono. Nie naszą, ale naszego czasu to winą takie uciechy, nie my wprowadziliśmy do atmosfery moralnej wieku niezdrowy pierwiastek radości z klęsk cudzych, nie my rzuciliśmy etykę między graty zużyte — zrobili to niemcy. My oddychamy tem powietrzem, jakie stworzyły potęgi, kreślące kolej biegowi świata. A czyż my tylko jedni mamy być idealni, bezinteresowni, nawet w bliźnich rozmiłowani, nie zaś egoiści, namiętni, mściwi? Czyż my nad niedolą wrogów mamy płakać, gdy oni nad naszą, przez nich sprowadzoną, się śmieją? Czyż my powinniśmy być więcej, niż ludźmi, a im wolno być mniej? Nawet Chrystus nie dziwiłby się weselu polakowi z wyganiania niemców.

Wesele to obchodzimy tak ochoczo, że ledwie nas od niego odrywa na chwilę jakaś inna... zabawa. A tymczasem przemyka niepostrzeżenie wiele spraw ważnych. Nienajmniejszą z nich jest zburzenie ołtarza, wystawionego p. Władysławowi Habdank Korzybskiemu, zbawicielowi szlachty czy tam większej własności ziemskiej w *Gazecie rolniczej*. Jeżeli wypadek ten nie urósł do znaczenia bomby rzuconej na Towarzystwo kredytowe ziemskie przez p. Waliszewskiego, to tylko dzięki obławie na niemców. A zresztą — może jeszcze wyrośnie! W każdym razie mamy już co najmniej kwestyę „Alberta wójta krakowskiego.“

Czytelnik przypomina sobie, że dla rozcięcia jednym zamachem węzła kłopotów ziemiańskich *Gazeta rolnicza* wyznaczyła konkurs na model skutecznego miecza. Nadesłano rozpraw wiele, a między zapaśnikami odznaczył się szczególnie p. Korzybski. Znaną jest moc naszych trąb dziennikarskich. Wkrótce też p. Korzybski ogłoszony został za mesyasza agronomicznego, a jego praca p. t. *Melioracye rolne* — za ewangelię, którą nietylko uczciło grono tutejszych mistrzów w zakonie, ale pochwalił Blomayer, a niemcy chciwie przetłomaczyli. Ponieważ zaś autor swoją metodę zastosował praktycznie w majątku własnym, więc jednocześnie jego Rudnik stał się rodzajem Mekki dla ziemian, ich delegatów, korespondentów, reporterów, uczniów chciwych wiedzy lub świadków olśniewającego zjawiska. Wyroki znawców rozsyłano po redakcyach w odbitkach drukowanych, które ukazywały się dosłownie powtórzone bez żadnych zastrzeżeń, a niedawno jeszcze jakiś reporter, uczestniczący w wyprawie do Rudnika, opowiadał swoje wzruszenia wobec mistrza, oprowadzającego rzeszę po swych polach i ukazującego jej „cuda,“ poświadczone przez obecnych chłopów. Słowem, chyba waryat albo nieuleczalny wątrobiarz nie wierzył, że w pracy p. Korzybskiego narodziło nam się dzieło pomnikowe a najciemniejszy ziemianin marzył w tej chwili, kiedy będzie mógł je nabyć. Wreszcie wychodzi ono z pod prasy drukarskiej—czekamy salw powitalnych. Jak z urzędu przystało, odzywa się naprzód strzał z tego wału, na którym stała kolebka sławy autora— z *Gaz. rolniczej*. Cóż słyszymy? Mówi dr. Jentys:

„Do *poronionych* płodów literackich, na pożytek rzeszy ziemiańskiej *fabrykowanych*, do płodów, przeciwko którym należy stosować *jaknajszybciej* wspomniane *antidotum* („krytykę, zapobiegającą szerzeniu się *fałszu*“) zaliczyć musimy obszerne dzieło p. Korzybskiego... O dziele tem narobiła już trochę wrzawy *niekompetentna* prasa warszawska, poprzedziła je opinia komisyi konkursowej... Rozprawa ta ma *wszelkie* oznaki do rozchodzenia się po większych dworach i *bałamucenia* więcej praktycznie a mało teoretycznie wykształconych rolników.“ Jest to „mixtum compositum z botaniki, chemii, fizyki, chemii rolniczej, mineralogii, geologii itd.“ Żadnej z tych nauk autor dokładnie nie zna. „Pierwsze dwa rozdziały tak obfitują w błędy naukowe, że gdyby ktoś zechciał wszystkie po kolei wypisać i postanowił przerywać tę czynność, dla wypoczynku, w chwili natrafienia na ustęp bez zarzutu, pojawienie się takiego ustępu byłoby dlań tak pożądanem, jak dla podróżującego po pustyni ukazanie się na horyzoncie wierzchołków drzew odżywczej oazy.“ Redakcya *Gaz. rolniczej*, chcąc ocalić bodaj skrawek majestatu grona sąsiedzkiego, objaśnia w przypisku, że komisya konkursowa „rozbierała tylko część praktyczną,“ ale dr. Jentys śmieje się nawet z tej części. P. Korzybski podniósł urodzajność ziemi wilgotnej, alež nie wszystkie grunta są wilgotne. Jego, jedynie zbawienny system wygląda tak, jak gdyby chodzący o kuli doma-

gał się, aby wszyscy mający zdrowe nogi, kulami się posługiwali.“ Zresztą sam autor „na jednem miejscu nakazuje pozbywać się chętniej wilgoci, a na drugiem starać się usilnie o jej pomnażanie,“ a jego wnioski, uzupełniające teoryę Berthelota, „są bez żadnej wartości.“ W końcu możnaby wyznaczyć nagrodę za rozwiązanie łamigłówek językowych.“

Oto jest dzieło, któremu komisya konkursowa, prasa, różne delegacye i „grona“ nadały szczególną ważność i która miała wydobyć z toni nasze rolnictwo. Doprawdy „Albert wójt krakowski“ wyszedł z próby krytycznej jeszcze zwycięzko. Widocznie w odgrywaniu mimowiednej i mimowolnej farsy postępujemy ciągle. Niech tam sobie redakcya *Gaz. rolniczej* tępi zarzuty dr. Jentysa przypiskami, nie zetrze faktu, że w łonie komisyi konkursowej nie było ani jednego człowieka, znającego botanikę, chemię, fizykę, chemię rolniczą, mineralogię i geologię i zdolnego ocenić „mixtum compositum“ z tych nauk. Czy to nie wysoce smutny objaw? Czy on w życiu naszem nie powtarza się za często? Czy biedne społeczeństwo, zbłąkane w ciemnościach, a tylokrotnie zawiedzione pozorami wiedzy, nie może słusznie zawołać, jak niegdyś umierający poeta: „światła — więcej światła!“? Przykro to wyznać, ale zataić trudno, że brak nam ludzi naukowych dla zaspokojenia najskromniejszych potrzeb, że nas tylko łudzą ich cienie.

Tak — „więcej światła!“ — te dwa słowa mogą u nas służyć za cały program. Pisma spierają się o to, czy lud nasz jest zły, czy dobry; według mnie, jest on przedewszystkiem głupi — dziki. *Kuryery* opowiadają o wielu wypadkach, w których przewoźnicy i rybacy, złapawszy przedmioty, uniesione przez przybór Wisły, uważali je za swą prawowitą własność i sprzedawali poprzednim posiadaczom za wysoką cenę. Tak np. za przytrzymany stóg siana żądali rs. 15. Jednocześnie słyszymy zwykle doroczne echa rabunków i kradzieży, dokonywanych w mieszkaniach letnich. Kto rozwija uczucia moralne tych ludzi? Nauczyciel? Nie. Ksiądz, który im prawi o Wolterze i Darwinie, o Renanie i pozytywistach warszawskich. Ręczę, że ci zwolennicy cudzej własności są względnie dość ukształceni w filozofii. Znają dobrze „szatanów niewiary,“ i „zatrute źródła,“ pamiętają, jakich dzieł i pism strzedz się powinni i co trzeba zrobić, ażeby w ostatniej chwili najdłuższy rachunek grzechów zmazać (załatwia się to w części wotywą śpiewaną, a w części głębokiem westchnieniem). Dopóki zaś etyka zasobowa nie ustąpi miejsca doczesnej, pytam, gdzie i od kogo prostak ma się uczyć moralności, zwłaszcza, gdy czasem słyszy, że np. z 400 pielgrzymów, jadących po zbawienie duszy przez rzekę, utonęło blisko 300, pomimo że przecie zostawali pod skrzydłem szczególnej opieki... Ale, ale... *Przegląd katolicki*, który tak lubi i umie dowodzić skuteczności owych skrzydeł, niechże nam prostakom wytłomaczy łaskawie, dlaczego ci pątnicy utonęli? Bo prom był dziurawy — wiatr powstał? To nie racya... Tylko bez młynków, po prostu: czemu utonęli, jadą do miejsca świętego z pobożnym celem?

Zapewne i po tej odpowiedzi zawołamy: „więcej światła!“ — więc rzuciwszy mimochodem pytanie, idźmy dalej. *Gazeta rzemieślnicza* rozpoczęła zeszytami wydawać *Mechanikę* inż. Łubieńskiego. *Przegląd pedagogiczny* — drukuje w swych dodatkach: *Zarys geografii powszechnej* W. Nałkowskiego i *Metodę nauki rysunków*. Oto są przedsięwzięcia, w których odczuto i zrozumiano bolesny krzyk, tak często wydzierający się nam z piersi: „więcej światła!“ Należy to zaliczyć do cech zwrotu bardzo pożądanego, że nasze pisma usiłują przebić promieniami nauki mroczne warstwy społeczne. Z takiej pracy można się spodziewać wyników dobrych, daleko lepszych, niż z wodnej puchliny tygodników, pęczniejących zadrukowaną bibułą bez wartości. Po przeczytaniu *Mechaniki* czytelnik *Gaz. rzemieślniczej* więcej skorzysta, niż z tysiąca artykułów kaznodziejskich, dowodzących mu potrzeby zasilenia umysłu wiedzą. Bo gdy konający woła: „więcej światła,“ to nie znaczy — jak mniema *Przegląd katolicki* — że trzeba mu w rękę dać gromnicę lub zapalić w izbie kilka świec stearynowych, ale trzeba wynieść chorego na słońce, które go uzdrowi. Figlarz, pewnie się śmieje z tej medycyny. Ale jesteśmy wyrównani! Bo gdyby on wiedział, jak ja, dzięki jemu, czasem się śmieję!...

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Samobójstwo z głodu. — Po obcych kątach. — Wypadki na kolejach. — Lekceważenie służby „niższej.“ — Oszczędności i wielkie pensye. — Wczoraj i dzisiaj w prowincyach południowo-zachodnich. — „Nieporozumienie“ w Zawierciu. — Troskliwość cukrowni Gniewańskiej o byt pracowników. — Uratowanie tonącego.— Solidarność obywatelska w Mławskiem. — Osady rolne w Studzieńcu.

W Wilnie otruła się z rozpaczy panna O., dziewczyna zdolna i pracowita. Ukończyła gimnazyum w Warszawie z patentem nauczycielki, ale nie mogąc znaleźć miejsca w zakresie swego uzdolnienia, przyjęła obowiązki buchhalterki w pewnej firmie żydowskiej, gdzie wynagrodzenie nawet na przeżycie nie wystarczało. Wypiła szklankę roztworu z zapałek i umarła. Nie zdziwi się temu, kto zna dolę takich istot. Klasa to należąca do najbardziej pomiatanych przez chlebodawców. Panienka młodziutka, nie znająca świata i ludzi, po otrzymaniu patentu styka się odrazu z życiem, które ją zwykle łamie odrazu, lub automatycznie popycha w dalszej pielgrzymce, odrętwiałą od mozołu. Wymowniej od słów powie nam prawdę ogłoszenie: „Poszukuje się guwernantki do trzech dziewczynek (najstarsza liczy 14 rok). Wynagrodzenie 200 rubli rocznie. Żądaną jest znajomość języków: francuskiego i niemieckiego, muzyki, śpiewu, *szycia na maszynie, prania koronek, oraz gospodarstwa kobiecego w zakresie hodowli drobiu i trzody chlewnej*.“ Tacy, „uczciwi,“ mówią przynajmniej otwarcie, czego żądają od guwernantki. Może się zgodzić lub nie, a zgodzi się przecie choć jedna, bo ich za wiele z głodu umiera. Jest inny rodzaj chlebodawców, którzy po przybyciu nauczycielki na miejsce, rozszerzają „grzecznie“ zakres jej działalności. Jednocześnie utrudniają zaspokajanie potrzeb umysłowych. W domu, jeśli były jakie książki, poszły dawno na strawę dla myszy. Nauczycielka, gdy zapyta, czy w okolicy jest pismo, z któregoby można korzystać, w oczy się jej roześmieją. Niejedna stara się o własnych siłach zaabonować gazetę, cóż kiedy na pocztę raz na miesiąc ze dworu posyłają. Jeśliby dziewczyna, zmuszona wycierać obce kąty, zechciała się porozumieć z rodziną, z którą być razem nędza nie pozwoliła, napotka wiele trudności. To konie zajęte, to posłańca niema dla wysłania listu itp. Stopniowo grzeczne traktowanie zamienia się na brutalne. Od pana domu, pani, do pokojówki, każdy wie, że guwernantką można pomiatać, bo się na to najęła. Dochodzi do tego, że zrozpaczona musi porzucić miejsce. Wówczas sadza się ją na wóz od mierzwy i wysyła do stacyi, a za zerwanie umowy zatrzymuje się zapłatę, której pokrzywdzona nie może odebrać, bo się nie umawiała piśmiennie. Tak bywa w domach „średnio“ zamożnych. Inaczej nieco u „wielkich“ czcicieli honoru, „żyjących przeszłością.“ Sztywność i duma pańska nie pozwala biednej nauczycielce oczu podnieść lub kroku śmiało stąpić. Niechże się wyrwie z ust nieba-cznej słówko swobodniejsze o „teraźniejszości,“ lub zdradzi się chęć wyłamania z pod niewolniczego jarzma praktyk kościelnych, wtedy biada zuchwałej! Chleb łaskawie z wysoka podany traci, a w zamian biegnie po okolicy szerokie obwieszczenie o złem ziarnie, co niebacznie może wpaść w prastare gniazdo cnót szlacheckich i zakłócić spokojną drzemkę jego mieszkańców.

Zastępy pomiatanych tak są wielkie, że przejrzeć ich w całości nie sposób. Kultura tętniąca siłą pary, ukrywa starannie ten gatunek ludzi. Dopiero wypadki zdradzają niedolę na karkach „niższych“ pracowników. Pisma codzień prawie notują sucho wypadki „drobne“ na kolejach, jako rzecz zwykłą. Na Nadwiślańskiej konduktor Piasecki upadł pod koła wagonu i został przecięty na pół. Liczył lat 22, był jedynakiem u rodziców. Na Dąbrowskiej między stacyami Jastrząb i Bzin, pomocnik maszynisty, Perłowski, smarując w biegu cylindry przy maszynie, spadł pod lokomotywę, która wraz z 44 wagonami przeszła przez nieszczęśliwego, gruchocząc mu żebra i kalecząc ciężko głowę. Ranionego przywieziono do Bzina, lecz tam nie znaleziono żadnej pomocy lekarskiej. Wysłany parowóz do Suchedniowa również nie przywiózł doktora, bo ten był chory. Dopiero z Kielc pomoc przybyła. Uderzają w tym wypadku dwa ciekawe szczegóły: smarowanie w biegu cylindrów i brak pomocy lekarskiej. Człowiek z połamanemi żebrami czekać musi kilka godzin na ratunek. Inne koleje posiadają samosmary przy cylindrach lokomotyw. Dlaczego droga Dąbrowska nie wprowadziła ich dotąd? Zapewne, łatwiej o człowieka, niż o to udogodnienie. Jeden zginie, dziesięciu innych zjawi się na to miejsce, a mizerna płaca nie wyniesie i setnej części tego, coby kosztowało zabezpieczenie życia pracowników. Kolej Dąbrowska rządzi się takiemi oszczędnościami. A więc brak tam lekarzy i felczerów, służba zaś „niższa“ ledwie się wyżywić może. Obok tego znaną jest na wszystkich wogóle kolejach troskliwość o wysokie pensye wielkich dygnitarzów. Łatwiej szefowi podwyższyć płacę o kilkaset, niż robotnikowi o kilka rubli. Coś podobnego było niedawno jeszcze u naszych ziemian; gdy szło o kilka kopiejek więcej dla podziennego, szlachcicowi humor się psuł na cały dzień. Z lżejszem sercem kupowało się drogą karetę lub cugowca eleganckiego. Dziś stosunki nieco się zmieniły. Bieda ogólna gniecie, wszelkie produkty rolne staniały. Są już tacy, co woleliby płacić z „przyjemnością“ drożej robotnikowi, niżeli nie mieć żadnych zysków z roli. Upadek cen na zboże dał się czuć włościanom bodaj więcej, niż posiadaczom większej własności. Wszyscy gwałtownie rzucili się do zarobku, lecz z tem nie łatwo. W prowincyach południowo - zachodnich groźny współzawodnik, ludność robocza z Galicyi, dokucza miejscowym. Nadto, wojska skore są na każde zapotrzebowanie. Wskutek tego ceny robotnika znacznie się zniżyły. Przed kilkunastu laty o kilkadziesiąt wiorst jeżdżono dla zamawiania żniwiarzów z okolic leśnych. Dziś zgłaszają się sami w liczbie nadmiernej. Gdy przedtem trudno było umówić się na 9 lub 10-tą kopę, w roku przeszłym prosili się na 12-tą, na pola cisnęli się gwałtem i z niczem odchodzili. W prowincyach tych robotnik mężczyzna za całodzienną pracę pobiera 20, kobieta 15, podrostek 10 kop. Przed kilku laty ceny były prawie podwójne. Roczny parobek na swojem utrzymaniu pobierał 80, dziś zaledwie 50 rs. Nie wszędzie taki sam objaw. Gdzie są plantacye buraków, tam robotnik droższy.

Pisma nasze brukowe, wdające się nieraz w filozofię z powagą myślicieli, o najprostszych zjawiskach ekonomicznych sądzą z dziecinną naiwnością. *Kur. warszawski* donoszą z Zawiercia o „nieporozumieniach“ wynikłych wskutek „troskliwości pryncypała *o dobro* robotników.“ Dyrektor „Towa-

rzystwa akcyjnego“ p. Masłowski przed kilku tygodniami zaproponował robotnikom fabryki (jest ich około 2,500) zmianę w sposobie wynagrodzenia *o wiele* dla nich *korzystniejszą.* Dotąd pobierali ściśle określoną płacę dzienną, regulowaną co dwa tygodnie. Dyrektor „chcąc do pewnego stopnia pracujących przypuścić *do udziału w zyskach,*“ przedstawił im zmianę w ten sposób, aby wynagradzać od ilości wyrobionego materyału. „Korzyści były widoczne i motywa przekonywające, więc robotnicy przystali. W pierwszym dwutygodniowym okresie przy wypłacie korzyść ta w praktyce się okazała, bo był większy zarobek. W drugim wypadło mniej, co dało powód do szemrania. Tłum zebrał się, któremu przodowali „pijani,“ jak twierdzi korespondent. Zwierzchnik zażądał od jednego z „krzykaczów“ wyjaśnienia, czego chcą: „Nie chcemy nowej mody, wolimy dawną zapłatę!“— wołano. Dyrektor próbował tłomaczyć, iż powrót do dawnego będzie dla nich niekorzystny, lecz „*ograniczeni* ludzie z *dziecinnym uporem* obstawali przy swojem.“ „Burzyciele,“ nie słuchając strażników ziemskich, ciskali na nich kamieniami, jednego ciężko ranili w głowę. Dwóch najgłówniejszych „buntowników“ aresztowano. Kiedy oburzony dyrektor oznajmił, iż dawny zwyczaj będzie wrócony, rozeszli się wszyscy. Odwieczny sposób, praktykowany przez wielu fabrykantów, nie powiódł się w Zawierciu. „Ograniczeni“ ludzie zrozumieli, że wytężając swe siły w pierwszym okresie dwutygodniowym zrobili wiele dla właściciela fabryki; w drugim „udział w zyskach“ był mniejszy od zwyczajnej płacy, bo siły odmówiły posłuszeństwa, więc z „dziecinnym uporem“ żądali dawnego sposobu wynagradzania.

O wiele prościej przedstawia się troskliwość o pracowników w byłej cukrowni Gniewańskiej na Podolu, którą odbudowano po niedawnym pożarze. Zarząd nie oddalił *ani jednego* oficyalisty, pomimo znacznych strat pieniężnych wskutek ognia. Dodatnich faktów tak mało w życiu, że chętnie je zaznaczamy, jeśli są, aby z szarej powłoki niedoli wyjrzeć na świat jaśniejszy. Prócz powyższego z krainy wiecznej mozolnej pracy, godzien uwagi następny z gruntu szlacheckiego. Posiadacz ziemski na Wołyniu p. K., pożyczył na zastaw 4,000 rs. z warunkiem, że jeśli w jakim terminie nie zapłaci procentów półrocznych, zastawnik ma prawo poszukiwać całego kapitału z procentem, nie czekając terminu, z karą pieniężną 1,000 rs. W końcu zeszłego roku dłużnik wiózł na termin sumę należną, lecz w drodze złamał nogę. Dopiero po dwóch tygodniach odesłał procent, usprawiedliwiając się wypadkiem. Wierzyciel skorzystał z chwili. Nie przyjął pieniędzy i podał kontrakt zastawu do egzekucyi. Majątek wart był najmniej 15,000 rubli. Zrozpaczony człowiek napróżno kołatał o pieniądze na wszystkie strony, by spłacić dług: skromne mienie przed kilku tygodniami wystawiono na sprzedaż. Gdy już wierzyciel zaopatrzył się w mniemanego współzawodnika i miał zostać sam dziedzicem za 4,000 rs., naraz spadła zagrożonemu cudowna pomoc. P. Liskowacki, obyw. z pow. żytomierskiego, bawiący w mieście, posłyszawszy o sprzedaży publicznej, zaszedł przez ciekawość. Tu dowiedział się o wszystkiem; nie znając osobiście p. K., ani stanu i szacunku jego majątku, zapłacił komornikowi 5,000 rs. długu wraz z procentami i karą. Poprzestał tylko na wekslu od dłużnika, zabezpieczającym obywatelską pożyczkę. Wypadek w dzisiejszych czasach podobny do bajki. Drugi fakt solidarności obywatelskiej w Mławskiem, gdzie zawiązano sąsiedzkie wzajemne poręczenie wynagradzania szkód, gradobiciem zrządzonych, oparte nie na kontrakcie żadnym, lecz jak utrzymuje *Korespondent płocki,* na wzajemnem zaufaniu i przyrzeczeniu. Szkody wynagradzane będą w naturze lub pieniądzach. Obciążenie stałe z zobowiązania wynikające, wynosi 1% wartości przedmiotu ubezpieczonego. Gdyby honor i słowo szlacheckie znajdowały zawsze takie zastosowanie w rzeczywistości, mniej byłoby ziemian bezrolnych.

Wzajemne zaufanie i przyrzeczenie w Mławskiem nie jest faktem pojedynczym. Znane ono powszechnie u nas, ale często zawodne. Daleko szukać nie będziemy, weźmy Studzieniec. Wszyscy członkowie przyrzekli solennie płacić regularnie. Tymczasem ze świeżego sprawozdania widzimy, że stan finansowy tej instytucyi nie przedstawia się pomyślnie z powodu niеakuratności stowarzyszonych. Składki dosięgnąć powinny 11,490 rs., a wynoszą w r. b. zaledwie 6,198 rs. Społeczeństwo nasze tyle ma chorych latorośli, że trzeba je koniecznie ratować w sposób skuteczny, jeśli nie chcemy, aby prawie bezrozumne istoty w świat samopas puszczone, zaludniały daleki wschód i wracały potem do nas „zahartowane“ z zasobem energii do czynów zbrodniczych. Fakty dowodzą, iż zbawienne w tym razie są osady poprawcze. Od chwili założenia opiekę tam już znalazło 468 nieletnich przestępców, z tych 141 pozostaje jeszcze na wychowaniu, 25 umarło, 290 zwrócono społeczeństwu, jako młodzieńców umoralnionych i usposobionych do pracy. Z tych ostatnich 84 odesłano rodzicom, 95 umieszczono przy gospodarstwach rolnych, 17 u ogrodników, resztę w warsztatach stolarskich, szewckich, u kołodziejów, tokarzów, piekarzów, felczerów, a jednego w seminaryum nauczycielskiem. Z tych, którzy kształcili się w różnych gałęziach rzemiosł, 57 jest już czeladnikami, 7 majstrami, a jeden *nauczycielem prywatnym.* Od zwiększenia środków materyalnych zależy dalszy rozwój pożytecznego zakładu. Są piękne projekty: rozszerzenie opieki nad uwolnionymi, tudzież staranie się o rozmieszczenie ich nietylko w okolicach Studzieńca, lecz na całej przestrzeni kraju. Dążeniem zarządu jest, aby jednocześnie można było umieścić 200 wychowańców. Do tego trzeba koniecznie wznieść jeszcze jeden domek. Fundusz na ten cel dosięga ledwo 700 rs. Tylko na ofiarność publiczną liczy się w tym razie. Niektórzy członkowie powinniby też pamiętać, że „honorowy“ udział ani zaszczytu, ani korzyści instytucyi nie przynosi.

Drogomir.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Mosk. Wiedomosti piszą:

„Niejednokrotnie słyszeliśmy skargi licznych gazet rosyjskich, że zasadnicze ustawy, tyczące się tutejszego kraju, ułożone przez Milutina i Czerkaskiego, nie ulegają zgodnie z duchem czasu żadnej zmianie i rozwojowi, mimo że życie samo zmienia się nieustannie i szybko rozwija. Ściśle biorąc, trzeba to zdanie uznać za niesłuszne. Z jednej strony zrobiono cokolwiek w kierunku wzmocnienia zasad rosyjskich ogólno-państwowego życia. z drugiej strony jednak legiony anti-rosyjskich działaczy nietylko że nie zasypiają sprawy, ale, jeżeli można wierzyć gazetom polskim, postępują wciąż naprzód. Któż nie wie, że wszystkie drogi żelazne w kraju, komunikacye wodne i główne szosy znajdują się w rękach polskich? Cała administracya kolei żelaznych tudzież służba liniowa, składają się z samych polaków. zacząwszy od palacza a skończywszy na dyrektorze. Polacy zajmują wszystkie posady naczelników dystansowych. inżenierów Wisły itd. Między nimi znaczny procent odchodzi na niemców, cudzoziemców, albo, co nie zmienia istoty rzeczy, na takich, którzy świeżo przyjęli poddaństwo. W tej wielotysięcznej masie znajdziemy wszystkich — tylko nie rosyan. Nawet t. z. drogi strategiczne, Iwangrodzko-Dąbrowska ze wszystkiemi odnogami i nowozbudowane drogi: Chełm-Włodawa, Brześć i droga Małkińska—oddano wyłącznie polakom lub niemcom, obie ostatnie zaś, wybudowane przez skarb, chociaż przechodzą przez kraj czysto rosyjski (Chełmskie i Podlasie), powierzono dla eksploatacyi drogi żelaznej Warszawsko-Terespolskiej.

Wszystkim kolejom tutejszym skończył się już właściwy termin, to też mogłyby już być skupione przez skarb państwowy. Zdawałoby się. że nareszcie doczekaliśmy chwili, w której państwo będzie mogło rozporządzać najważniejszemi arteryami ruchu; ale to się tylko tak zdaje... Są pewne dane, które naprowadzają na myśl, że tutejsze polskie tuzy czynią gorliwe zabiegi w Petersburgu, aby utrzymać w dawnych rękach polsko-niemieckich eksploatacyę tutejszych linij komunikacyjnych. O ile ufają w pomyślny rezultat swych usiłowań. świadczy wiadomość, podana przed kilku miesiącami przez pisma warszawskie, że niewątpliwie nastąpi wkrótce zjednoczenie towarzystw kolei Terespolskiej i Nadwiślańskiej. Każdy, rozumiejący korzyści państwowe, spyta ze zdumieniem: dlaczego droga Terespolska, będąca przedłużeniem Moskiewsko-Brzeskiej, nie ma się złączyć z tą ostatnią, ale koniecznie z Nadwiślańską? Tutejszy jednak polityk nie znajdzie w tem nic zdrożnego, bo nie chciałby dopuścić takiej nazwy nawet, jak dr. ż. Moskiewsko-Warszawska a tembardziej wzdryga się na myśl, że gdyby z obu dróg powstała jedna Moskiewsko-Warszawska, zarząd całej tej drogi musiałby być rosyjski. Wówczas bowiem wyślizgnęłaby się z rąk polskich droga Terespolska z dwiema strategicznemi odnogami, a oprócz tego zrusyfikowałby się na dobre zarząd i służba czynna dróg południowo-zachodnich dochodzących do Brześcia; wówczas niestety nie mogłyby już polskie pisma uważać polskich dróg strategicznych za niezaprzeczenie polskie. a w skutek tego mogące w danej chwili stanąć w poprzek interesom rosyjskim. Nie wiemy, czy przyjdzie do skutku zjednoczenie dróg Nadwiślańskiej i Terespolskiej, ale przeciwko argumentom, mającym dobro państwa na oku. wytaczają tutejsi politycy taki arsenał „jaśnie wielmożnych“ osób, czyniących niezmordowane zabiegi w Petersburgu, wiedzą o tak licznych ścieżkach prowadzących do właściwych departamentów, że nawet największy optymista rosyjski gotów stracić głowę i uwierzyć w końcu, że tutejsi politykomani dopiąć muszą wszystkiego. czego tylko zapragną. Ostatnim argumentem tutejszych polityków jest wzgląd na potrzebę miejscowego przemysłu niemieckiego. Co do tego mają ze swego punktu widzenia zupełną racyę. Dopóki wszystkie tutejsze i południowo-zachodnie drogi będą w rękach polsko-niemieckich, dotąd moskiewski okrąg fabryczny będzie zgnębiony nietylko na południu, południo-wschodzie. ale nawet na Kaukazie i w Taszkencie. Dzisiaj bowiem można już uważać za fakt spełniony umowę zawartą między niby rosyjskiemi drogami z jednej. a tutejszymi fabrykantami i przemysłowcami z drugiej strony, na mocy czego drogi te przewożą ich fabrykaty i wyroby zagraniczne za zniżoną wielce taryfą. Pesymiści utrzymują wprawdzie, że taryfy te są tak nizkie, że ani te drogi, ani „Rosyjskie Tow. żeglugi parowej“ nie wyjdą na swojem, ale jest na to sposób, boć drogi te są zagwarantowane, rząd więc straty zapłaci.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowoje Wremia donosi, iż władze w gub. zachodnich otrzymały polecenie, aby natychmiast zaliczyły do poddanych rosyjskich tych cudzoziemców, którzy przynajmniej od lat pięciu są posiadaczami ziemi w Rosyi, przemieszkiwali stale w swych majątkach i zachowywaniem się swojem nie wywoływali żadnych skarg ani zażaleń.

Ministeryum oświaty mianowało profesora uniwersytetu warszawskiego, dr. Teodora Dydyńskiego, rzeczywistym członkiem komisyi emerytalnej w Królestwie Polskiem. Godność tę poprzednio piastował dziekan Józef Kasznica.

Posady notaryuszów, jak donoszą dzienniki rosyjskie, mają być powierzane tylko osobom posiadają-

cym wykształcenie uniwersyteckie i pewną liczbę lat przesłużonych, jako członkowie sądu okręgowego. Co do praw służby, posada notaryusza ma być postawiona na równi ze stanowiskiem członka sądu okręgowego.

Zaprzeczenie. *Kur. warsz.* umieścił zaprzeczenie, podpisane przez jednego z członków zarządu ordynacyi Zamoyskich, p. J. Rzętkowskiego, który gotów jest złożyć dowody, iż ani jednego niemca niema w zarządzie dóbr ordynackich. Wieść ta rozeszła się ze szpalt pewnego organu, puklerza szlachty, w tym razie, jak się okazuje, podziurawionego.

Uniwersytet dla kobiet. Komisya pod prezydencyą wice-ministra wychowania publicznego, księcia Wołkońskiego, opracowała projekt urządzenia uniwersytetu dla kobiet, złożonego z wydziałów: historyczno-filologicznego, fizyczno-matematycznego i lekarskiego. Do zakładu tego będą miały wstęp kobiety, które ukończą gimnazyum i złożą egzamin z języków starożytnych w zakresie 8 klas. Program uniwersytetu żeńskiego niczem się nie będzie różnił od męzkiego. Projekt ma być złożony Radzie państwa w jesieni r. b.

Urzędnicy kolei Dąbrowskiej otrzymali do podpisu deklaracye, iż zrzekają się pretensyi do zarządu w razie udzielenia im dymisyi, poprzestając na wypłaceniu pensyi trzymiesięcznej.

Projekt utworzenia szkoły technicznej przy kolei Dąbrowskiej ma podobno wejść w życie. Zakład mieścić się będzie w Kielcach lub Radomiu.

Drogi żelazne w Królestwie polskiem wszystkie, prócz Petersburskiej, przyrzekły bezpłatny powrót okazów z wystawy inwentarza, mającej się odbyć w Warszawie we wrześniu r. b.

Szkoła rzemiosł dla kobiet p. A. Korycińskiej w Warszawie urządza wystawę przedmiotów rękodzielniczych, wykonanych przez uczenice.

Teatrzyki ogródkowe wysilają się na nowości. Przerobiono „Ulanę“ i „Budnika,“ powieści Kraszewskiego. Pierwszą wystawił „Nowy świat,“ drugą z muzyką Noskowskiego, Alhambra.

Towarzystwo pielęgnowania chorych powstaje w Warszawie. Członków założycieli, zajmujących wybitne stanowiska w mieście naszem, jest około 40.

W Towarzystwie przemysłu i handlu d. 16 czerwca r. b. rozbierano wniosek p. J. Kułakowskiego w sprawie założenia fabryki przetworów owocowych w Kazimierzu dolnym. Zgodzono się otworzyć taki zakład na małą skalę sposobem próby. Wystarczyć na to powinno 5,000 rs. Na wniosek p. Zawadzkiego postanowiono nie tworzyć spółki żadnej, lecz sumę powyższą pożyczyć p. Kułakowskiemu, który ma swoją kolonię w Kazimierzu i fabrykę narzędzi. W tym celu należy zebrać podpisy na sumy 100-rublowe. Wniosek przyjęto.

Komitet przytułków w Tow. dobroczynności został rozwiązany. Wincenty hr. Walewski złożył mandat, nadmieniając, że obietnica zebrania funduszu potrzebnego na budowę gmachu nie była bezzasadną, bo w tych dniach otrzymał nową ze Żmujdzi ofertę na 3,000 rs., lecz ta została cofnięta z powodu odroczenia budowy. Los sprzyjał komitetowi, który w ciągu kilku miesięcy zebrał więcej niż Towarzystwo ze wszystkimi swymi wydziałami gromadzi przez rok cały.

Oficerom pozwolono odwiedzać zakłady zabaw Eldorado (teatr Buff) tylko w dniach przedstawień, dawanych przez artystów rosyjskich.

Kantor Banku państwa urzędownie ogłasza szczegóły o sumie sprzeniewierzonej przez Kiersza. Przy likwidacyi interesów b. Banku polskiego, rozpoczętej 13 stycznia r. z. i prowadzonej stopniowo, w miarę zgłaszania się klientów, wykryto fałszerstwa (dokonane w r. 1883, 84 i 85) niektórych otwartych kredytów, zabezpieczonych papierami procentowymi i rachunków bieżących procentowych. W ten sposób podniesiono przeszło 100,000 rs. Suma ta dokładnie będzie oznaczona dopiero po zgłoszeniu się wszystkich osób, mających otwarte rachunki z tytułu otwartych kredytów w b. Banku polskim.

Do szkół technicznych przy kolejach w Warszawie mogą być przyjmowani tylko do klasy I-ej chłopcy poddani rosyjscy od lat 14 do 17 wieku, synowie osób służących przy drogach żelaznych. Wyjątki dopuszczane są za pozwoleniem ministra komunikacyi. Kandydaci muszą przedstawić świadectwo z ukończenia kursu „szkoły dwuklasowej wiejskiej powiatowej“ (takich szkół jeszcze nie mamy), lub miejskiej, według ustawy z r. 1872. Nadto winni złożyć egzamin z języka rosyjskiego i matematyki w zakresie programu, zatwierdzonego dla szkół dwuklasowych wiejskich. Świadectwa ze szkół realnych lub gimnazyalnych nie będą uwzględniane. Zapis kandytatów rozpocznie się 13 (25) sierpnia r. b.

Kradzież. W Wiedniu na tej samej poczcie, gdzie dopuścił się niedawno kradzieży Zalewski, popełniono drugą. List wysłany z Pragi do wiedeńskiego Länderbanku, zawierający 52,000 złr., otrzymano z nienaruszonemi pieczęciami. Pomimo to wewnątrz zamiast banknotów, znaleziono.... gramatykę francuską.

Śnieg obfity spadł 17 czerwca w Permie przy temperaturze 1½% Reaumura.

Instytut głuchoniemych i ociemniałych odbył swój doroczny popis. Wytrwała praca nauczycielów i nauczycielek godna podziwu i szacunku. Ociemniali uprawiają przeważnie muzykę. Niektórzy uczą się rzemiosł (dziewczęta robót) z powodzeniem. Solista Pastuszek, wykonywający na skrzypcach trudne sztuki koncertowe, posiada zadziwiającą technikę. Orkiestra (uwertura z opery *Norma*) i chór (*Mors et vita* Gounoda, *Życie cygańskie* Schumana) odznaczają się wielką karnością i wprawą.

W Pirenejach, w Tegilla de la Rivière pod Perpignan, podczas nabożeństwa runął kościół, zasypując gruzami kilkadziesiąt osób; 20 poniosło śmierć na miejscu.

Rzadka książka. Na odbywającej się obecnie licytacyi biblioteki hr. Crawford, sprzedano za 2,650 fst. biblię Mazarina, pierwszą książkę drukowaną ruchomemi czcionkami metalowemi. Niedawno taki sam egzemplarz sprzedano za 3,900 fst.

Trąba powietrzna w d. 10 czerwca przeszła pomiędzy stacyami Skierniewice i Łowicz. Wichura, trwająca kilka minut, z wielkim szumem i hukiem, przybrawszy prąd wirowaty, wyrywała ziemię, kamienie, krzewy i dachy z domowstw włościańskich.

Z przemysłu. Jedna z fabryk wyrobów platerowanych u nas, posiadająca magazyn swój w Krakowie, rozpoczęła wysyłkę wyrobów, które mają łatwy zbyt w Galicyi.

— Zarząd zakładów fabrycznych na Solcu wchodzi w układy z kilkoma drogami żelaznemi w cesarstwie o wielką dostawę przyrządów kolejowych.

Ofiara. Przemysłowiec medyolański, Karol Erba, ofiarował 400,000 lirów na założenie wyższej elektrotechnicznej szkoły. Urządzeniem zająć się ma prof. Brioschi, dyrektor królewskiego wyższego instytutu technicznego.

Zmarli. Aleksander Podwyszyński, artysta dramatyczny, kierownik teatrów polskich w Krakowie i Poznaniu. Należał do najinteligentniejszych polskich aktorów. Wiele dzieł z obcych języków przyswoił naszej literaturze dramatycznej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Lud. M. w Mal. Zapytaliśmy, czy w gronie przyjaciół i uczniów zmarłego nie powzięto jakiejś myśli pokrewnej życzeniu Pańskiemu. Po otrzymaniu odpowiedzi nadamy stosowne przeznaczenie pieniądzom otrzymanym.

Pp. H. R. i M. F. w Sosnowicach. Jakże mogliśmy Panom przesłać książkę, która wyjdzie dopiero w grudniu, o czem wyraźnie w ogłoszeniu zaznaczono?

Ogłoszenia.

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Broszurka bezpłatna — Gwarancya długoletnia

„EXSICCATOR”

Zabezpiecza **wszystko co z drzewa od gnicia, niszczy grzybek drzewny, osusza wilgoć** w starych domach i zabezpiecza **nowe. Dezinfekuje.** Zastępuje **olejną farbę** we wszelkich kolorach i **tańszy** od tejże o 50%.

Inżynier **RITTER**, Warszawa, Królewska Nr. 39.

Poszukuję agentów.

Do Inż. Techn. **G. Rittera**, wynalazcy **„Exsiccatora“** w Warszawie, Królewska 39.

J. W. **Prezydent m. Warszawy** Gen.-Lejtn. Starynkiewicz, z d. 30 października 1885 r. za Nr. 17946 **zaświadcza**, iż osuszona z wilgoci za pomocą **„Exsiccatora“** część ściany **w drukarni Magistratu**, zaprawiona wapnem, jest **zupełnie sucha**, granicząca zaś wokoło część tejże ściany ze starą **cementową zaprawą** nie osuszona **„Exsiccatorem“ wilgotna**.

Uwaga. Zaproszone przeze mnie w d. 7 maja r. b. grono kompetentnych osób, złożone z PP. Dr. A. Weinberga, Inż. T. Marynowskiego, budowniczych: W. Grabowskiego, J. Huss, majstra mularskiego Mozalewskiego i obywateli: L. Jasińskiego i B. Korpaczewskiego, po ścisłem zbadaniu, w oddzielnych rękopisach **stwierdzili tożsamość** powyższego świadectwa.

W 1884 r. używałem płynu Pańskiego wynalazku zw. **„Exsiccatorem“** dla konserwacyi wszelkich części drzewnych, domów moich i dla własnego przekonania się o skuteczności tegoż środka — część podłóg i belek **nie nasycałem „Exsiccatorem“**; rezultat okazał się taki, iż **nasycone** części drzewa obecnie są zupełnie **zdrowe**, nienasycone zaś **zgniłe** i przez grzybek **zniszczone**.

Warszawa d. 4 lutego 1887 r. Serafin Wołoszyński (m. p.) firma **Makay** w domu hr. Krasińskiego, ul. Królewska Nr. 11.

Uwaga. Liczne podobnej treści opinie od najpoważniejszych osób w kraju i za granicą posiadam od **r. 1879**, kiedy **„Exsiccator“** był zastosowywany praktycznie bez jego obecnej nazwy.

Telegramy i listy: **Ritter** — Warszawa.

Dr O. Bujwid

Pięć odczytów o bakteryach

rys ogólnych zasad bakteryologii w zastosowaniu praktycznem.

Cena kop. 35, z przesyłką pocztową 45; dostać można we wszystkich księgarniach.

Student uniwersytetu

poszukuje lekcyi na wyjazd lub w Warszawie. **Szczygla 5. m. 5.**

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Iюня 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.